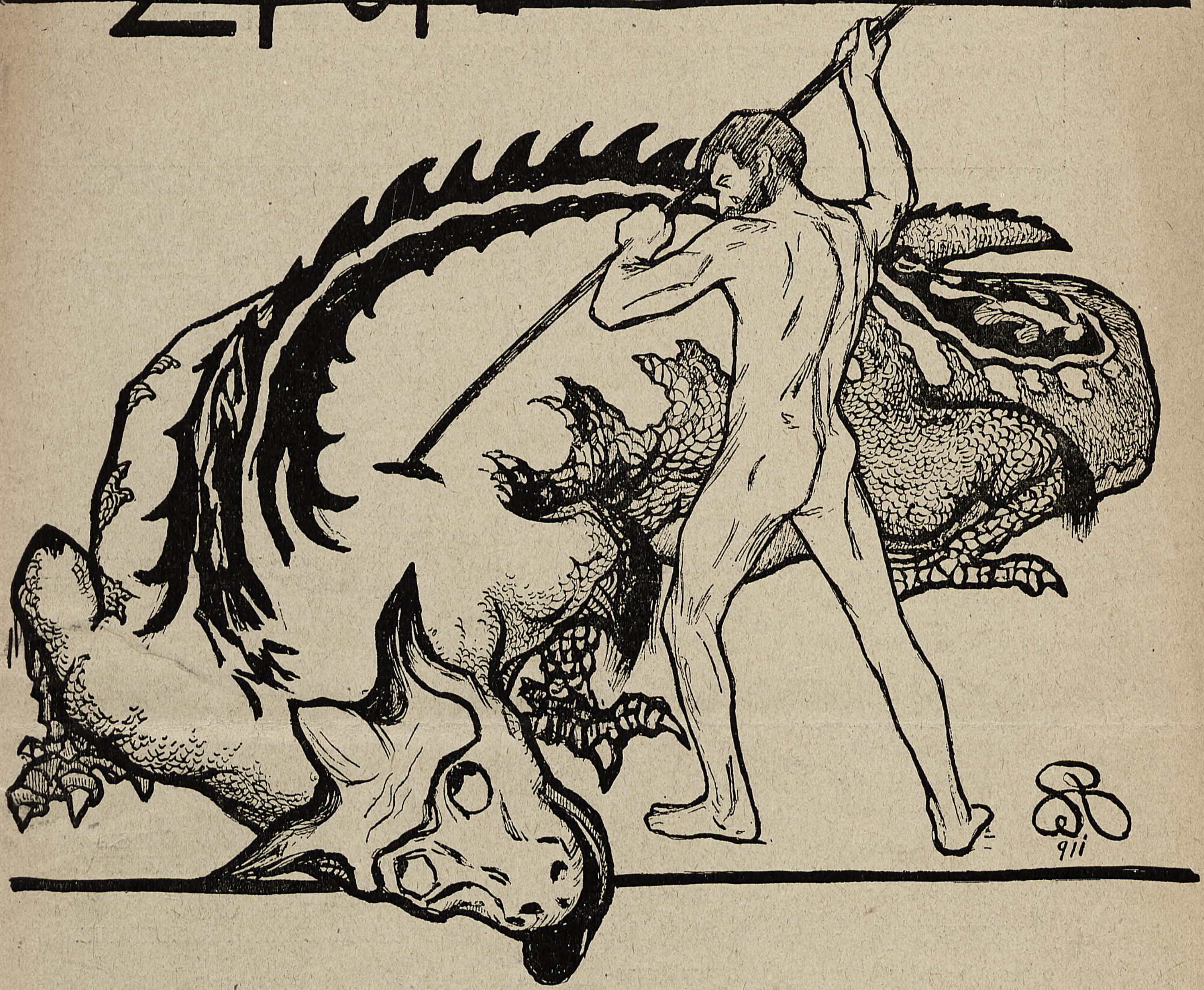
ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XXXVII.
DNIA 9. WRZEŚNIA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNY 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.

Fabryczny skład szczotek i pendzli

Lwów, ulica Kopernika 11.

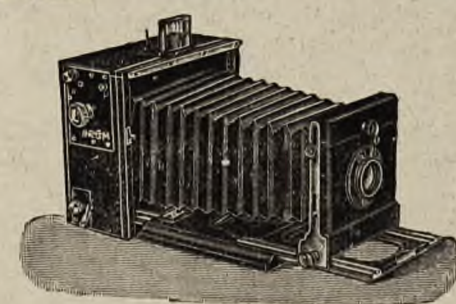
poleca: wszelkie rodzaje szczotek i pendzli do użytku domowego, fabrycznego i przemysłowego, oraz pendzli artystycznych, malarskich i lakierniczych wyłącznie Krajowy wyrób.

Zlecenia z prowincyi odwrotną pocztą.

H. Czerwińska.



o cenach nader przystępnych, wykluczaczających wszelką konkurencyę.
Portrety powiększa do naturalnej wielkości z każdej fotografii.



JAN BUJAK

Specyalny skład i warstat
- reparacyjny aparatów -
- - fotograficznych. - -

WE LWOWIE, UL. KOPERNIKA L. 14.

poleca

APARATY, NAJNOWSZE MODELE. —
PŁYTY I PAPIERY FOTOGRAFICZNE
Z ANGIELSKIEJ FABRYKI WELLINGTON
CENY FABRYCZNE.
WYWOŁYWANIE KLISZ I KOPIOWANIE.

ZAKŁAD GAZOWY MIEJSKI WE LWOWIE

poleca na sezon budowlany do opału gazem:

Kuchnie, piece kąpielowe, aparaty techniczne i do rozprowadzania gorącej wody, odznaczające się trwałością i zupełnem bezpieczeństwem w użyciu.

Lokal wystawowy i do sprzedaży w pasażu p. Mikolascha.

Zalety opału gazem: Wygoda i łatwośc w obsłudze, nadzwyczajna czystość, natychmiastowe wyzyskanie ciepła i taniość.

Urządzenia dla 3 płomieni świetlnych i 2 kuchennych przy użyciu zegarów automatycznych, wykonuje Zakład gazowy własnym kosztem.

Bliższych warunków można zasięgnąć **w biurze Zakładu przy ul. Gazowej 28.**



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

UCZESTNIK.

KONGRES MARYAŃSKI W PRZEMYŚLU.

Co stało się w Rzeczypospolitej, iż z takim sumptem, hałasem i pompą arystokratyczni dygnitarze galicyjscy urządzili walny soborczyk sodalicyi maryańskiej i duchowieństwa rzymskiego. Czy chodziło o wprowadzenie w życie naruszonych nakazów miłości chrześcijańskiej, czy zamyślano zażądać wprowadzenia do sejmu krajowego równości obywatelskiej, czy zamierzano wskazać doraźne środki lecznicze przeciw ubóstwu i ciemnocie najnieszczęśliwszych w narodzie, czy postanowiono wypełnić śluby Jana Kazimierza, obmyślić pomoc dla nędzy i niewoli, podać rękę do zgody bratniemu narodowi. Czy może chciano wypowiedzieć walkę obłudzie i hipokryzyi, która pod płaszczykiem słowa Chrystusowego podtrzymuje przywilej i kastowość, sieje nienawiść i intrygę, zamienia w lotny piasek całość narodową, błotem kłamstwa źródła życia zasypuje, podcina u korzenia latorośle myśli humanitarnej, szkodliwe twory pasożytnictwa zachowuje. Co stało się w Rzeczypospolitej? Co dobrego zjazd sodalicyi maryańskiej i duchowieństwa rzymskiego uradzić chciał i postanowić?

Rozpisano walne uniwersały. Zjechały wielobarwne habity żeńskie i męskie, stanęły czarne i fioletowe sutanny, przybył w niewielkiej liczbie z blizka i z daleka przez duszpasterzy sprowadzony człowiek roboczy, pojawili się arystokratyczni dygnitarze. Na czoło wysunął się sędziwy prezes akademii umiejętności, z bocznej linii potomek hetmana, co nie bał się niegdyś dyabłów ni czarownic i roił w duszy heretycką myśl kościoła narodowego. Wzrostem i tuszą górował marszałek krajowy, któremu przybrana polska ojczyzna dawniejszą włoską z lichwą wynagrodziła i do szczególnej wdzięczności powinna była zobowiązać. Uprzejmością i układnym uśmiechem wyróżniali się dwaj dygnitarze duchowni, synowie kolonistów niegdyś szwedzkich i niemieckich, którym ludowe pochodzenie nie zamknęło drogi do jedynie w takich wypadkach dostępnego dostojeństwa rzymskiego. Duszą zebrania był wszechwładny jezuita, wszędzie czynny, choć niby nieobecny, ojciec moderator.

Na zewnątrz jako główny mowca zaangażował się z grona świeckich hrabia rzymski i prezes akademii umiejętności. Zatrąbił do walki. Dwa są kierunki: — mówił — jeden chce panowania Chrystusa, drugi chce Chrystusa usunąć. Drugiemu kierunkowi walka! Dobrze powiedziałeś, panie hrabio! Zapomniałeś wszakże, że Chrystus nie u ciebie ni między twoimi. Błogosławieni ubodzy i cisi, błogosławieni pokój czyniący, błogosławieni czyniący sprawiedliwość — nie do was się odnosi. Zdajesz się nie widzieć, panie hra-

bio, że twoi to ludzie nie chcą dopuścić do panowania Chrystusa, do panowania miłości, pokoju, zgody, zapomnienia krzywd, wyrzekania się dóbr ziemskich, do zaprowadzenia Królestwa Bożego na ziemi. Pan doświadczający serca i próbujący nerek (scrutans corda et renes Deus), nazwał już dawno twoich i im podobnych pobielanymi grobami, jak nazwał Faryzeuszów, a zwrócił się z miłością do pogardzonej jawnogrzesznicy, do żałującego celnika, niósł słowo miłości i pocieszenia, modlił się: „przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią", chodził boso, obcował z chorymi i ubogimi i zostawił cudownej prostoty prośbę: „et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos dimittimus debitoribus nostris". Wsłuchaj się uważnie, panie hrabio, w tętno twojego serca, a przestraszysz się, gdy ono ci powie, że Chrystus nie u twoich, ale między tymi, którym wypowiadasz walkę. Oni, ci nieszczęśliwi, walki się nie zlękną, bo mocni czynnem wypełnianiem nauki Chrystusowej zwyciężą was i zetrą w proch, bo zbrojni miłością nakazów Chrystusowych, będą jako owi, o których ewangelia powiedziała: „gwałtownicy zdobywają królestwo niebieskie". W złych szeregach stanąłeś do walki, panie hrabio, zacietrzewienie zasłania ci prawdę Chrystusową.

Z grona duchownych rozpiorunował się biskup przemyski. Ten jedno znalazł zło, jednego nieprzyjaciela: masonerię i temu nieprzyjacielowi zapowiedział walkę. Dziwnie stary sposób, choć nowa nazwa. Dawniej straszono ludzkość dyabłem rogatym i ogniem piekielnym, potem czarownicami, dzisiaj dawne nazwy zastąpiła masonerya. Kto jest ta masonerya i czego ona chce. Na to przygotowano z góry obradujących. Jeszcze przed zjazdem krakowski „Przegląd polski" wydrukował artykuł: Czem jest wolnomularstwo, w którym powtórzył kapitalne kawały Leona Taxila, którego sławne rewelacye paryskie skompromitowały i ośmieszyły w najwyższym stopniu klerykałów całego świata, a także kuryę rzymską. Przegląd liczył najwidoczniej na znaczną u nas ignorancyę. W czasie zjazdu artykuł Przeglądu przedrukowało osławione z humbugów Perettiego i włościanina z pod Gródka „Słowo polskie". Nie potrzebował więc ksiądz biskup przemyski opowiadać, czem jest masonerya. Wystarczyło, że wobec naiwnych i obłudnych wskazał na nią jako na największe niebezpieczeństwo dla kościoła rzymskiego i narodu polskiego. W tym bowiem porządku rozpatrywano niebezpieczeństwa, a ksiądz biskup tarnowski gorszył się nawet, że dzisiaj narodowi daje się pierwszeństwo przed kościołem, co przez zjazd zostało zaaprobowane, skoro uchwalono wejść w kosmopolityczny związek z innonarodowymi katolikami, ażeby zwalczać te żywioły w narodzie, które nie należą ani do sodalicyi, ani do duchowieństwa, zatem — według logiki jezuickiej — są co najmniej masonami, jeżeli nie są poprzebieranymi za ludzi dyabłami.

Czy warto z takiem stanowiskiem polemizować lub nawet przywiązywać do niego jakąkolwiek wagę, tem więcej, jeżeli się uwzględni, że według biskupa przemyskiego wszystkie ruchy wolnościowe w Polsce, praca nad ludem, cała nasza najnowsza literatura (z wyjątkiem książek do modlenia i wydawnictw św. Wojciecha o królowej Sabie, siedmiu mędrcach i t. p.) wszystkie usiłowania na polu naukowem — to tylko działanie masoneryi, obliczone na zgubę kościoła rzymskiego. Byli ludzie, którzy z powodu tak postawionej kwestyi oburzali się na księdza biskupa. Czynili źle. Śmieszność sama się potępia. Ksiądz biskup stoi na wysokości pojmowania włościaństwa haczowskiego, z którego pochodzi — i w tem cała tajemnica.

Między wielu innymi był na zjeździe jeden jeszcze moment szczególnie ciekawy. Kongres wystąpił przeciw jedności Włoch i oświadczył się — co zresztą nie jest u klerykałów nowością — za państwem świeckiem papieża. Jeżeli takie stanowisko zdumiewa każdego człowieka rozsądnego, staje się szaleństwem w ustach narodu w niewoli. Nasi kongresiści nietylko nie umieją pracować nad własnem wyzwoleniem, lecz na dobitek zazdroszczą wolności zjednoczonemu narodowi włoskiemu. Czyż zapomnieli o ewangelicznem: „oddajcie cesarzowi, co cesarskiego, co boskiego, Bogu". Nieposłuszni słowom ewangelii, uczynili rzecz nieewangeliczną, ze stanowiska państwowości austryackiej nielojalną. Cóż na to poradzić, gdy pan marszałek chciał się bawić w wyższą politykę i wywołać u Włochów uczucie zadowolenia, że zerwał na dobre z dawną ojczyzną. Czy przez takie postępowanie służy dobrze nowej ojczyźnie — to rzecz inna, w istocie jednak zbyt błaha, aby zasługiwała na bliższe rozważanie.

Nie można gorszyć się zebraniami współwyznaniowców. Tyle jest pola do szlachetnej pracy nad podniesieniem człowieka, że dla każdego znajdzie się miejsce w pięknem współzawodnictwie. A e hasłem każdej pracy powinno być owo prastare: „kochaj bliźniego jak siebie samego," — lub owo apostolskie: „synaczkowie, miłujcie się." Kto jest bez miłości, ten jest jako miedź brzękająca albo cymbał brzmiący. Nie słyszeliśmy na kongresie ani jednego słowa miłości, słyszeliśmy natomiast słowa fanatyzmu i nienawiści. Nie tędy droga, panowie sodalisi maryańscy, nie tutaj Chrystus, wielebni duchowni kościoła rzymskiego. Nauka Chrystusa jest poza wami, w sercach ofiarników i poświęcających się dla dobra bliźniego, we wszystkich, co dążą do prawdy i światła, co ukochali wolność, we wszystkich, co wyrzucili z serca nienawiść i kłamstwo, i żyją, czyniąc każdemu dobrze. Na zebraniu waszem w Przemyślu duch Chrystusowy był nieobecny. Rozkrójcie serca wasze, a przekonacie się.

Nie bylibyśmy się zajmowali zjawiskiem, które w rzeczywistości stoi poza kulturą naukową, poza usiłowaniami życia narodowego. Lecz zjawiska niektóre zaczynają się powtarzać z chroniczną chorobliwością, więc pora przestrzec przedniemi i szukać lekarstwa. Mieliśmy niedawno Zimmermaniadę, Macochiadę i Wiercińscyadę. Objawy niepokojące, w życie polskie dwudziestego stulecia wnoszące atmosferę topienia czarownic i palenia heretyków, cofające kulturę narodową w okres średniowiecznego barbarzyństwa. Nie trzeba wątpić, że ogół patrzył się na to wszystko z uśmiechem politowania, że sami główni inscenizatorzy odgrywali komedyę. Ale jedna rzecz jest groźna. W rękach inscenizatorów jest możliwość szkodzenia, jest oplot pajęczy masońsko-jezuickiej intrygi. Obroni się przed niemi samo

życie, którego fala i większe jeszcze zawały zalewała, ale trzeba czuwać, na komplot trzeba odpowiedzieć większem jeszcze umiłowaniem prawdy i sprawiedliwości, czynniejszą jeszcze miłością bliźniego, pilniejszym jeszcze dążeniem do kultury europejskiej, gorętszem jeszcze ukochanien nieszczęśliwego narodu. Nienawiści i fanatyzmowi trzeba przeciwstawić ideał miłości i wolności. Wynik takiej walki będzie nieomylnie szczęśliwy i dla narodu polskiego pożyteczny, chociażby biskup przemyski nazwał go zwycięstwem masoneryi. Nie trzeba lękać się nazwy. Twórcy Targowicy byli sodalisami, Kościuszko i Dąbrowski byli naprawdę masonami.

Kongres przemyski może być nawet zjawiskiem pożądanem jako coraz wyraźniejsze memento. W rocznikach życia narodowego broszury i słowa kongresistów spoczną obok takich arcydzieł, jak „Ścierka do utarcia grzesznej gęby zatwardziałemu grzesznikowi“ albo odpustowe elukubracye leżajsko-kalwaryjskie, ale praca obudzonych do czynu wskutek napastliwości barbarzyństwa wolnych ludzi pozostanie w narodzie pamiątką trwałą i działaniem wyzwalającem. I będzie to jedynie godna i jedynie skuteczna wolnych ludzi odpowiedź.

Lwów, 5 września 1911.

Julian Kotwicz.

Krajowy Związek Nauczycielstwa ludowego.

Na 9. września b. r. zwołany został piąty Zjazd delegatów kraj. Związku naucz. ludowego. Związek ten jest organizacyą zawodową nauczycielstwa, obejmującą znaczną część nauczycielstwa galicyjskiego, a wchodzi w jego skład i nauczycielstwo ukraińskie, co prawda w szczupłej liczbie, gdyż grupuje się przeważnie w swojej narodowościowej nauczycielskiej organizacyi „Wzaimna Pomic…“.

Ruch nauczycielski powinien szczególniejszą uwagę budzić wśród społeczeństwa, gdyż wiąże się on bezpośrednio z losem szkolnictwa. Same choćby materyalne dążenia nauczycielstwa przez tyle lat ciągle ponawiane, przyzwyczaiły już opinię społeczną do obojętnego ich traktowania, są jednak one istotną podstawą, na której dopiero wyróść może inny system szkolny, wyższe wykształcenie nauczycielstwa, bardziej wzmożona jego twórczość, tak na polu pedagogicznem, jak też na terenie społecznej i pozaszkolnej pracy, gdzie obecność jego jest tak nieodzowna. Mimo dziewięciokrotnego (!) podwyższenia płacy nauczycielstwa przez sejm, byt tej szarej rzeszy pracowników pozostaje wciąż w opłakanym stanie. Sprawozdanie Rady szkolnej zaznacza, iż w szkołach naszych pracuje 13.419 sił nauczycielskich, między niemi 6.191 nauczycieli, 7.228 nauczycielek, z tego jest zaledwie 53 nauczycieli a 436 nauczycielek nieukwalifikowanych. Z tej olbrzymiej liczby nauczycielskiej (sprawozdanie dotyczy roku 1909.) jest tylko 9.216 nauczycieli stałych, a **4847** tymczasowych, nieetatowych.

Nauczyciele etatowi pobierają razem 12½ miliona koron płacy, natomiast nieetatowi 4½ miliona kor. Całą tę kwotę przeznaczoną na płace nauczycielskie, rozdzielić należy na cztery klasy płac odnośnie do stałych nauczycieli, jest bowiem praktykowany system miejscowo klasowy, czego nie spotyka się w żadnej innej dykasteryi pracowników czy to autonomicznych, czy też państwowych. O tem samem wykształceniu nauczyciele np. we Lwowie lub w Krakowie pobierają płace wraz z dodatkiem na mieszkanie rocznie na osobę w kwocie 2600 K., gdy ich koledzy na wsi lub w małem miasteczku 1000 K. Różnica nie jest tu tylko w dodatku na mieszkanie, lecz w zasadniczej płacy. Nic więc dziwnego, że system ten dzieli nauczycielstwo na cztery różne społeczności, różnie materyalnie sytuowane. Jest on czynnikiem wnoszącym demoralizacyę w szeregi nauczycielstwa, obliczony na to, aby spoistość tej masy pracowników oświatowych rozluźnić i energię organizacyjną spętać wzajemną nieufnością. Cyfrowo przedstawia się rozdział tych płac następująco:

Do pierwszej klasy zalicza się zaledwie **195** nauczycieli etatowych, którzy pobierają łącznie **501400 K.**, a stanowią tylko przeszło 2 prc. ogólnej liczby nauczycieli. Płace te są rozdzielone między stałe nauczycielstwo Lwowa i Krakowa.

W drugiej klasie płac (np. Przemyśl, Jarosław, Kołomyja, Stryj i t. d.) jest nauczycielstwa **888** a pobierają **1,966.000 K.** a płaca przeciętna jednego wynosi **2260 K.**

W trzeciej klasie płac (np. Bolechów, Rudki, Komarno, Szczerzec, Oświęcim i td.) znajduje się **1094** nauczycieli z poborami około **1,800.000 K.** wobec czego przeciętny wymiar wynosi **1650 K.**

W ostatniej, czwartej klasie płac znajduje się największa liczba nauczycielstwa, bo 7039 czyli 77 prc. całej liczby sił nauczycielskich z poborami 8,269.700 K. — a przeciętna płaca wynosi tu **1170 K.**

Z tego zestawienia widać, iż największą cyfrę stanowi nauczycielstwo wiejskie i małomia-

steczkowe i ono też najbardziej jest upośledzone w swoich poborach służbowych.

Okoliczność tę starali się nieraz wyzyskać niesumienni demagogowie w rodzaju Rosoła i nakłaniali nauczycielstwo czwartej klasy płac do wyodrębnienia się i stworzenia osobnej organizacyi nauczycielstwa wiejskiego. Byłoby to w istocie tryumfem systemu miejscowo klasowego, lecz na szczęście zakusy ustawodawców konserwatywnych dzielnie odparł krajowy Związek nauczycielski.

Ujął on wszystkie postulaty w jedną całość i spoił nimi całą rzeszę nauczycielską grupującą się w Ogniskach związkowych a także wciągnął w rydwan wspólnej walki nauczycielstwo ukraińskie z „Wzajemnej pomocy“, prowadzi dalej akcyę mimo wszystko i wiecznie frondującą garstkę wszechpolskiego nauczycielstwa, Towarzystwa pedagogicznego.

Domaga się zatem całe nauczycielstwo

a) podwyższenia swych poborów do wysokości czterech rang urzędniczych,

b) zniżenia lat służby z 40 do 35.

c) zamiany sześciu dodatków pięcioletnich z łącznej kwoty 900 K. (100 K. 100, 150, 150, 200, 200) na pięć po 200 K, — Coby łącznie wynosiło 1000 K.

d) pragmatyki służbowej, którąby ujęła w przepis obowiązki i stosunki prawno służbowe całego nauczycielstwa. Projekt takiej pragmatyki przygotował już Zarząd naczelny najbliższemu zjazdowi do uchwały.

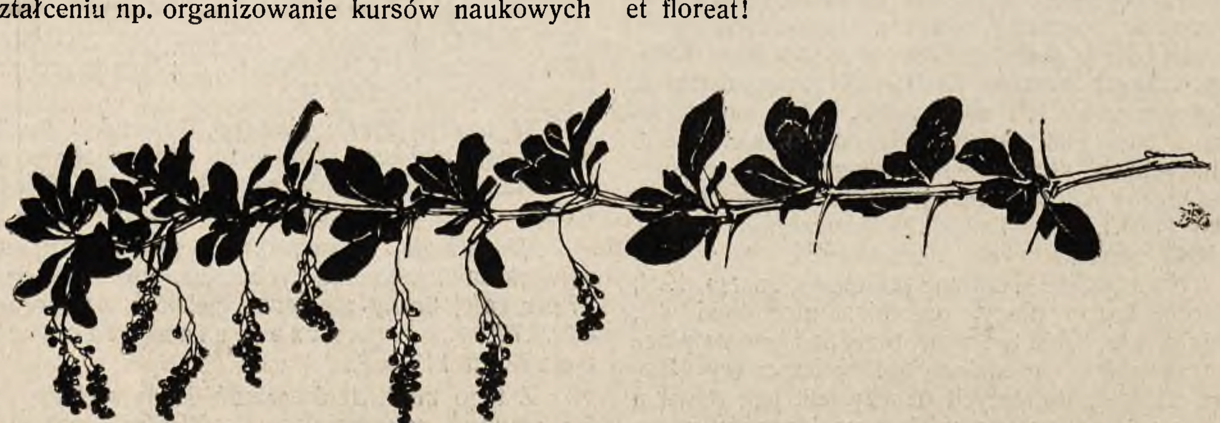
Domaga się również Związek zmiany artykułu 15. ustawy państwowej, żądając ścisłego określenia wysokości poborów w granicach czterech rang, tudzież udziału państwa w 50 % na rzecz szkolnictwa. Żądanie to poparł Związek szeregiem petycyi wysłanych do parlamentu tak przez nauczycielstwo i jego korporacye, jak też przez gminy, Rady szkolne miejscowe, tudzież korporacye oświatowe i tp.

To najogólniej ujęte postulaty materyalne nauczycielstwa ludowego, całego bez różnicy, wytworzonej sztucznie systemem miejscowo klasowym. Kieruje akcyą tą Zarząd naczelny Związku, złożony z 24 osób z których 9-ciu członków jest z najniższych klas płacy.

Podkreślić atoli należy równie chlubną działalność Związku w kierunku doraźnej pomocy, że wymienimy fabrykę związkową zeszytów, dzięki Związkowcom coraz lepiej się rozwijającą, pomoc w dostarczaniu opału, pomoc w samokształceniu np. organizowanie kursów naukowych dla egzaminów wydziałowych, w czem znowu góruje Ognisko lwowskie pod kierunkiem niestrudzonego organizatora i wybornego prelegenta p. Bol. Wizimirskiego, dalej podróże naukowe tak w granicach kraju jak i za granicą, czem się znów zajmuje ruchliwe Ognisko krakowskie, a duszą tych wypraw jest nauczyciel p. Robak. Żywo krząta się Ognisko w Nowym Sączu z p. Broszkiewiczem na czele nad wybudowaniem własnego domu, Ognisko znowu zatorskie przoduje w pracy nad ludem, a kieruje tym ruchem p. Baścik. I trzebaby wyliczać całe szeregi tych Ognisk, rozwijających się zgoła indywidualnie w tej czy owej pracy społecznej, odrębne cechy posiadających. Znamieniem Związku jest ideowość, która czyni tę organizacyę zawodową instytucyą wybitnie społeczną i narodową. „Ideałom naszym wierni, niesiem światło między lud“, brzmi hasłem ustęp pieśni związkowej, brzmi zachętą i wskazaniem dla związkowców.

Wielką część pracy swej poświęca Związek z natury rzeczy szkolnictwu ludowemu. Dziś już nie ulega kwestyi, że kompromitacya dwutypowości szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich jest bezwzględną zasługą krajowego Związku naucz., który w organie swoim „Głos nauczycielstwa ludowego“ na szeregu wieców oświatowych przez usta swoich delegatów jak prezes Nowak, Pałka, Kostelecki, Smulikowski, Broszkiewicz, Baścik i inni, w specyalnie odbitych broszurach, na zjazdach delegatów doszczętnie zdruzgotał krytyką ów wytwór kastowości naszego sejmu, a poruszył społeczeństwo w imię jednolitości szkoły ludowej jak i seminaryów nauczycielskich. Przed każdą ankietą przygotowywał Związek obfity materyał dla jej członków w organie swym „Głosie naucz.“ z korzyścią nieraz dla wyników opinii ankiety. Na swych zjazdach oprócz spraw materyalnych — widnieją zaraz najaktualniejsze kwestye z dziedziny szkolnictwa, że przypominamy referaty jak: Dwutypowość szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich, kształcenie charakterów, obecnie zaś na porządku dziennym zjazdu widzimy między innymi referaty: Nowoczesne poglądy na wychowanie dziecka lub Stanowisko nauczycielstwa wobec zaniedbania szkolnictwa ludowego w kraju.

Z dalszym rozwojem organizacyi twórczych pracowników, jakim jest niewątpliwie nauczycielstwo, z rozkwitem Związku zespoloną jest niewątpliwie demokratyzacya i tężyzna społeczna, duch niepodległościowy naszego narodu. Crescat et floreat!



GW.

ZJAZD PODHALAŃSKI.

W dniach 19. i 20. sierpnia br. odbył się w Zakopanem zjazd inteligencyi chłopskiej z Podhala. Zjazd nie był dobrze zorganizowany, mimo to w sali »Sokoła“ zjawiło się kilkudziesięciu synów chłopskich z Podhala, wśród nich literaci i artyści, profesorowie gimnazyalni i inni urzędnicy, zabrakło tylko duchowieństwa. Jest to znamienne. Wiadomo przecież, że Podhale wydało wielu i wydaje jeszcze pewną, stale zmniejszającą się zresztą ilość księży, którzy widocznie nie poczuwają się do łączności ani z rodzinnemi stronami ani ze swymi kolegami-towarzyszami z lat dawnych. Tem lepiej. Próba zjazdu, która się odbyła w tym roku w Zakopanem, przemieni się w stałe, doroczne i niewątpliwie okazałe zjazdy, doniosłe w swych skutkach dla przyszłości Podhala. Fakt, że duchowieństwo usunęło się od tego zjazdu, nie da się zapomnieć.

I cóż to odstraszyło duchownych od udziału w zjeździe? Czy hołd, który składano twórcy »Skalnego Podhala«? Czy uroczystość odsłonięcia pomnika króla Władysława Jagiełły? Czy zapowiedź, że zjazd chce się zastanowić nad drogami pracy kulturalnej na Podhalu? Czy przedwczesny lęk przed odpowiedzialnością za chęć niesienia światła pod ciemne strzechy? Doprawdy, jeżeli z tak mnogiej liczby duchownych, jakiej dostarczyło Podhale (może ich jest teraz ponad 100) nie zjawił się na zjeździe ani jeden, to jest to chyba aż nazbyt jasnym przykładem, jakie ideały, myśli i uczucia kierują tą masą. Lecz pozostawmy ich w spokoju.

Zjazd obradował przez dwa dni. W prezydyum zasiadali: prezes, sędziwy dyr. Walczak (Zakopane), zastępca prof. Józ. Kantor (Czarny Dunajec), sekretarze Feliks Gwiżdż i prof. Jakób Zachemski (obaj z Odrowąża). Po mowach przywitalnych i reprezentacyjnych, zjazd podzielił się na 3 sekcye, a to 1) ekonomiczną, 2) oświatowo-naukową i 3) literacko-artystyczną. Dwie ostatnie złączyły się następnie i obradowały wspólnie.

Powszechną uwagę zwrócił sumienny, spokojnie opracowany referat prof. Dziedzica, wygłoszony w sekcyi oświatowo-naukowej, na temat stanu oświatowego i kulturalnego na Podhalu. Referat ten wywołał ożywioną dyskusyę, w której zabierali głos prof. T. Buła, Feliks Gwiżdż, dr. Kraszewski, prof. Udziela, Irena Kosmowska i inni. Równocześnie pod przewodnictwem pułkownika Byrnasa z Ludzimierza obradowała sekcya ekonomiczna, która drugiego dnia tak, jak i sekcya oświatowo-naukowa, przyszła na plenum z całym szeregiem poważnych wniosków. Między innemi uchwalono wnioski sekcyi oświatowo-naukowej w sprawie założenia kilku szkół cztero-klasowych po wsiach celem podniesienia stopnia wykształcenia; w sprawie tworzenia domów ludowych; w sprawie pielęgnowania stylu podhalańskiego; w sprawie wydania kilku utworów K. Tetmajera dla ludu i w sprawie wydania słownika gwary podhalańskiej. Wydaniem słownika ma się zająć prof. Kantor.

Sekcya ekonomiczna poruszyła w swych wnioskach między innemi sprawę utworzenia zimowej szkoły rolniczej na Podhalu, sprawę fachowego instruktora dla rolnictwa, sprawę popierania przemysłu koszykarskiego i płótnianego, tudzież mlecznego i cały szereg innych spraw, które domagają się rychłego załatwienia na Podhalu.

Poza temi pracami I. Zjazd podhalański miał jeszcze inne cele. Był on zwołany pod hasłem uczczenia wielkiego poety Tatr, twórcy »Skalnego Podhala«, Kazimierza Przerwy-Tetmajera z Ludzimierza. Prosto, ale z całego serca złożono Mu ten hołd należny. Wobec uczestników zjazdu, górali i zaproszonej inteligencyi, przeważnie ze świata artystycznego, wprowadzili znakomitego poetę na estradę »Sokoła« Maciej Gąsienica i Franciszek Pawlica. Za nimi weszło grono górali i dziewcząt zakopiańskich, dalej poeci Podhala: Władysław Orkan, Wojciech Brzega, Feliks Gwiżdż, Zygmunt Lubertowicz, Teofil Lenart. Zabrakło w tem gronie Józefa Jedlicza, który nie mógł przybyć na zjazd. Odezwały się gorące, długotrwałe oklaski. Zaczem przemówił Wł. Orkan — serdeczny składając dank i hołd Tetmajerowi. Następnie zastępca wójta W. Roj deklamował »Pojedynek Janosika« Tetmajera, a Sobczakówna »List Hanusi«. Po tej deklamacyi „Związek górali“ przez swego prezesa p. Pawlicę wręczył Tetmajerowi dyplom honorowego członka. Wzruszony do głębi poeta odpowiedział na mowy Orkana i Pawlicy, zaznaczając, że co zdziałał, nie zdziałał dla czci i sławy; wypełnił tylko swój obowiązek, tak jak obowiązkiem oracza jest orać i siać na swej roli. Po przemowie Tetmajera odczytał W. Roj utwory Jedlicza, nadesłane na obchód, dalej czytali swe utwory na cześć Tetmajera pp. Lenart i Z. Lubertowicz, oraz F. Gwiżdż. Wreszcie zagrał na kobzie stary Jędrek Gładczan z Zakopanego. Uroczystość była skończona.

Drugiego dnia brał zjazd udział w odsłonięciu pomnika Jagiełły dłuta znanego art.-rzeźbiarza, Wojciecha Brzegi. Skromnemu artyście góralskiemu zgotowano przy tej sposobności gorącą owacyę.

Następny zjazd odbędzie się w roku przyszłym w Nowym Targu. Zjazd ten przygotować i dopilnowaniem wypełnienia uchwał I. zjazdu zająć się ma Komitet Wykonawczy zjazdu, w skład którego weszli: Wł. Orkan (prezes), burmistrz N. Targu Rajski (wiceprezes), F. Gwiżdż (sekretarz), Stanisław Roj (skarbnik) oraz pp. prof. Zachemski, W. Brzega, Krzeptowski, prof. Buła i prof. Kantor.

Zakopane, sierpień.



FELIKS GWIŻDŻ.

DO KAZIMIERZA TETMAJERA[1].

Hej! Ludzimierscy hłopcy[2]
Hej! Mali som, mali som,
Hej! Kucia im do boku,
Śwarni som, śwarni som.

Hej! Ludzimierscy hłopcy
Hej! Mało pola majom,
Hej! W której karcmie stanom,
Złoto zostawiajom.

W której karcmie stanom
Tam muzycy grajom,
W której karcmie stanom
Pijom i śpiéwajom.

*

Ludzimierscy hłopcy
Wroz sie porodzili.
Z jednego kieluska
Bedom wódkę pili.

Ludzimierscy hłopcy
Kohajom sie scérze,
Oni sie obroniom
O jednéj siékiérze.

O jednéj siékiérze,
O jednéj ciupadze —
Ludzimierscy hłopcy
Takom majom władze.

*

Siékiérecka — złoto,
Toporzysko z cisu —
Hej! Panie Kazimierzu,
Harny Towarzysu!

Hej! Panie Kazimierzu,
Harnasie Ty naski,
Złote iskry idom
Z pod Twojej ciupazki.

Złote iskry idom,
Serce jaz dygoce — —
Twoja włada w słonku,
Jak złoto migoce...

*

Hej! Ani na wiersycku,
Hej! Ani na dolinie
Hej! Tetmajera imie
Nigdy nie zaginie.

Ani tu, ani tam,
Nigdy i nikany
Nie bedzies, harnasiu,
Od nas przepomniany.

Orły — Twoje braty,
Siostry Twoje — granie
To samo Ci dzisiok
Zanucom śpiewanie.

[1]) Wiersz wygłoszony przez autora na wieczornicy literacko-art. w Zakopanem, ku czci K. Tetmajera urządzonej.
[2]) K. Tetmajer pochodzi z Ludzimierza.

JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY). II

Czasem obiecywała, że „post“ się skończy. Zewnętrznie pozostała taką, jak była. Cicha, żywa, spokojna. Ruchy zawsze prędkie ale miękkie, pieściwe. Tylko wargi jej stały się nieco bledsze, a chłopska linia podbródka jakby się wydłużyła nieznacznie. Nie przestawała być równie wesołą i chętną do pracy. Julek z ulgą słuchał nieczęstych pochwał „samej mamy“. Gderania na Cesię sprawiały mu wprost ból fizyczny.

Pewnego wieczora wszyscy w domu ułożyli się do snu wyjątkowo wcześnie.

Nadchodziła noc ciepła, urocza, dżdżysta. Leniwe ciemności, pełne parnej wilgoci, nakrywały ziemię jak futrem. Jednostajny deszczyk

chlupał cichutko. Na dworze nie było zwykłych hałasów.

Julek, wbrew zwyczajowi nie czytał w łóżku. Zgasił lampę i położył się, usiłując spać. Ale natychmiast głowa jego z sennej i ciężkiej stała się jasną, oczy rozszerzyły się, uszy chciwie chwytały najlżejsze szelesty. Nieprzerywany szum deszczu, wpadając przez otwarte okno, miał w sobie tajemniczą przytulność. Jakby chciał ukryć kogo, miękko, z dobrocią zapraszał do stąpania na palcach, skradania się pod jego osłoną. Niby to usypiał, a budził pożądania. Tak było cicho, taka pewność, że wszyscy, którzy nie mają tajemnic, śpią głęboko...

Julek nie mógł uleżeć. Siadł na łóżku i słuchał. Może przyjdzie? Może już stoi za drzwiami, nie wie czy on nie śpi, czy nie zapomiał... Nie pocałował jej dzisiaj ani razu — miał dzień „uczciwy"... Patrzał tylko wymownie palącym wzrokiem, targały go żądze za wielkie, żeby mógł się zadowolić pocałunkiem... Nie zniósłby może dzisiaj oporu...

Uczuł zimno na całem ciele, szczególniej w rękach. Jednak chłodno na dworze... Dzwonił zębami. Serce mu biło, waliło w ściśniętej piersi, nie mógłby wypowiedzieć słowa ze zdławionej krtani. Chciał w tać, ale trudno mu byłoby się ruszyć. Trząsł się cały. Nogi by go chyba nie mogły utrzymać. Co ona powie, kiedy on wejdzie, obudzi ją... Może narobi wrzasku na cały dom? Kto ją wie, jaka ona... wabi go, a w danej chwili wyjdzie na wierzch prostactwo — „godność"... Nie... chyba nie...

Nagle zupełnie spokojny wstał, otworzył drzwi i wszedł. Coś poruszyło się na łóżku. Znowu to serce wali. Cóż u dyabła, przecież to nie miłość... I przecież on się nie boi...

Podszedł do łóżka i pochylił się cicho ku jej głowie.

— Cesiu... nie śpisz?...

— To pan? — zapytano prawie szeptem.

Julek schylił się jeszcze bardziej i pocałował ją delikatnie. Schowała głowę pod kołdrę.

Julek nie wiedział, co robić.

Trząsł się cały — i czuł że ona drży.

Wsunął rękę pod kołdrę, natrafił na gołe ramię. W jednej chwili płomienista mgła mu ogarnęła głowę, w piersiach błysnęły oślepiające, gorące skry. Przypił się do tego ramienia, całował jej szyję, policzki, usta. Natrafił na pierś gorącą, słyszał jak Cesia dyszy szybko, prawie bezwładna. Ogarnął go szał. Rzucił się ku niej, lecz ona niespodziewanie zaśmiała się cicho i broniąc się biernie, zdyszana prosiła:

— Niech pan już idzie — niech pan idzie...

— Nie mów mi pan — dobrze Cesiu? — nie każ mi iść dzisiaj — ja już nie mogę...

— Jeszcze kto zobaczy — niech pan już idzie.

Oddawała mu pocałunki, chowała się potem, i nagle śmiejąc się rzekła trochę głośniej.

— Dzisiaj post!

— Nie, nie, nie — dosyć już postu. Powiedz mi Cesiu, dlaczego ty tak ciągle mówisz, przecież...

— A dzisiaj piątek. Naprawdę.

Śmiała się coraz bardziej jakimś dobrym, figlarnym śmiechem.

Julek wpadł w rozpacz, zaczął przypuszczać, że to są jakieś żarty, nie wiedział wogóle, co się z nim dzieje i najniespodziewaniej dla siebie samego zaczął jej dowodzić, że ona nie ma się czego bać, że on „zna sposoby" i t. d. Mówił tak długo. A Cesia milczała i chłodła. Kiedy w przerwach tego potoku zdyszanego szeptu przekonywań Julek całował ją, leżała coraz sztywniejsza. Nie oddawała mu już pocałunków.

Czasem tylko wstrząsały ją przelotne dreszcze. Wreszcie gdy Julek zrozumiał, że nic nie wskóra, odszedł, powiedziawszy w pocałunku dobranoc, na co również nie otrzymał odpowiedzi.

Z nieuchwytnem zdziwieniem i prawie lękiem w duszy powoli położył się i starał się myśleć nad postępowaniem Cesi. Ale myśli rozlatywały się, głowa mu pałała, czuł w sobie straszliwy bezlitosny niepokój. Żądze wybuchały jak pioruny i gasły. Ogarniał go żar i chłód na przemiany. Zlany zimnym potem zasnął nareszcie, czując do siebie niejasne, dalekie, ale olbrzymie obrzydzenie.

Sny miał okropne. Goniły go po pustych polach jakieś wciąż ukrywające się w norach postacie — włóczęgi o bladych złośliwych twarzach. On musiał latać, machając rękami, jak ptak skrzydłami. Ale męczył się szybko. Leciał nad miastem. Zmęczony spoczywał na dachu — aż tu z komina wychyla się postać śmiejąca się, postać śmiejąca się do rozpuku i wyciąga z zanadrza cienki, błyszczący nóż. Skrada się olbrzymiemi krokami na nogach jakby pajęczych. Julek wzlatuje, ale o kilka domów dalej wpada do ogrodu. Tu go może nie znajdą. Wdrapuje się na drzewo. Znużony jest śmiertelnie. Już nie uleci. Aż tu szukają go. Cicho, jak koty, skradają się. Udają tylko, że go nie widzą. Parskają śmiechem, odwracając się od niego. Lada chwila się rzucą. Czemu go tak ścigają? Zrywa się raz jeszcze, ale ramiona osłabły. Podlatuje i opada, ręce już nie podbijają pod jego ociężały tułów powietrza. Podlatuje i spada, podlatuje i spada. Runie lada chwila. Nóż wwierca mu się w wnętrzności....

Z głuchym rykiem obudził się. Nie zaśnie już teraz. Ta głowa taka zimna, powieki ciężkie i zimne, senność nieprzezwyciężona. Nie, ale nie zaśnie! — Może wstać?... Nie, bo leżeć tak miło... Serce bije nierówno, kołysze się. Deszcz ustał, wiatr szumi po liściach wina, pnącego się po murze podwórza... Tak kojąco i strasznо. Z za okna coś patrzy na niego... Nieuchwytna jasność jakowaś... Powoli spływa przez okno... Co za rozkosz! Co to tak płynie? Całemi falami płynie i ogarnia go sobą. — Unosi go, jak fala na leciuchnej łodzi. Ktoś ty? — to ktoś znajomy? Łzy napływają mu do oczu. Ktoś nieznany, a jednak droższy mu nad wszystko. Ktoś święty — wszystko co najświętsze na ziemi, wszystko co przeczyste, co zachwyty rodzi — marzenia najcudniejsze w jedno stopione, pocałunek ust ukochanych, zapach kwiatów niebieskich, świeżość poranków wiosennych, serce dziewicze, nieskalane uniesienie tłumów, wrzących tchnieniem wolności, tryumf żołnierzy, zdobywających stolicę ojczystą na wrogu, słońce palące nad morzem, i ta twarz mu nieznana — te oczy kamiennie surowe, stalowo-błękitne, bosko dobre, a straszne

jedyne, jedyne w świecie — i głos spiżowy twardy — woła mu:

— Siły! — Siły!

— Co to znaczy?

— Siły zbrodni i siły życia! Siły rozkoszy i siły wyrzeczenia się! Siły pożądań i siły askezy! Siły radości i siły bólu!

— Co mam czynić?

— Nie wiem, nie wiem...

Rozwiała się...

O duszo daleka! O duszo dziewicza nie opuszczaj mnie!

— O święta, nieznana mi, jakże cierpisz! O przyjdź, ukaż się jeszcze!...

Ciemność nieprzebita. — Głuche gromy w tej ciemni. Przelewają się groźne, dławiące. Duszno. Zaciskają się obręcze nocy — ha — nocy wieczystej bez początku i końca! Wałami kolistemi zewsząd, zewsząd płyną! coraz ciaśniej go dławią. Ponure warczenia, ryki grobowe. Zbliżają się koła dławiące. Jak chmury, jak fale głębin oceanu. Już zwarły się. Zeszły się w jeden punkt — w jego serce, czy w mózg. Zwarły się w punkcik jeden — drobny, coraz drobniejszy, w pojęcie matematyczne punktu — on jest tym punktem — niema go wcale — zniknął —

Wtem jasność okropna, piorun stoczył mu się na głowę.

Zerwał się przebudzony. Na dworze burza, Grom straszliwy toczy się po niebie — i znów piorun.

Zatrząsł się pokoik Julka. Julek wpółprzytomny wstał i zamknął okno.

Drżał. Trząsł się cały.

Przecierał oczy ciężkie, wstrząsał się, siedział zadyszany, spocony. Nie myślał o niczem.

Po chwili znowu runął na łóżko. Ale nie mógł już zasnąć. Głowa rozgorzała mu się trochę. Próbował myśleć.

— Czem jestem?

Chłód ogarnął go znowu. Drżał jak w febrze.

— Czem jestem?

Ujrzał bezbrzeżną przestrzeń, pustą, bezludną. Najśnieżnych polach wybuchają płomienie i gasną. Jakby race strzelają w lśniące gwiazdami niebo. Wykwitają rośliny olbrzymie, skrzypy z epoki węglowej, rozbłyskują na nich kwiaty o tysiącach barw — więdną — opadają — roślina cała schnie i osuwa się badylem na ziemię. — Wołania jakieś słychać, głuche, rozpaczne i milkną w ziemię wbite. Pustka, tęsknota. Strzała przelatuje złota — ucieka daleko, szybka jak błyskawica, maleje, ginie w nieskończoności...

— Majaczy mi się coś — myślał przebudzony.

Wpatrywał się w siebie usilnie.

— Co się z nim dzieje właściwie?

Ujrzał nagle samego siebie nu łóżku.

Skurczony, w kłębek zwinięty leżał przytulony do poduszki. Widział wyraźnie, jak ręką ruszył, odgarnia włosy z czoła.

— Czem się ty męczysz? — pyta siebie zdumiony.

I z całą świadomością, nie śpiąc, patrzył na siebie z przerażeniem. Gdzieś stał przy łóżku i patrzał uważnie, przenikliwie.

— Czy ja oszalałem — zawołał głośno, zrywając się na równe nogi.

Podbiegł do dzbanka z wodą, chlusnął sobie na głowę.

Nie wiele to pomogło — głowa nie była wcale rozpalona.

Siedząc przy stole przeczekał do rana.

Gdy zaczęto się budzić, położył się i zasnął snem dziecka.

— — — — — — — — — — —

Obudził się późno, ociężały, wypoczęty. Jasny, słoneczny dzień. Powietrze przeźroczyste, wszystko widać wyraźnie, w ostrych konturach.

Gdy ubrawszy się spostrzegł Cesię, spłonęła jak blaskiem pożaru oblana. Łagodnie przytulił się do niej. Pocałowali się inaczej — o, inaczej — dłużej — goręcej —

Julek dzień cały włóczył się po mieście.

Gdy noc nastała, znów ogarnęło go drżenie. chłód i niemoc w całem ciele.

Nie długo czekał.

Przyszła trzęsąca się, dzwoniąc zębami. W niepewnem świetle nocy była blada jak widmo. Nie wymówili słowa. Porwała ich moc straszliwa.

— — — — — — — — — — —

Julek posiadł dziewicę.

VI.
„ONI".

Julek czuł dziwne pomieszanie uczuć. Był naprawdę, jak dzieciak, śmiesznie dumny, po prostu gotówby chełpić się przed samym sobą z tego co posiadł i cieszył się jak chłopak, któremu udało się wybrać jabłka z cudzego ogrodu — i przyzywał swoje sumienie gdzieś jak na złość ukryte, poprostu grające z nim w chowanego — i czuł nagłe strachy przed tem, co uczynił i wstyd mu palił twarz, a przy tem namiętność porywała go, przez całe dnie gryzące płomienie zaciskały mu się w piersi i przelatywały po nim jak błyskawice.

Gdy spotkał Cesię, całą różową na jego widok i widział błękit jej oczu, wilgotną, miękką mgłą przesłoniony, bladł, spuszczał oczy i nie mógłby już teraz przelotnie, jak przedtem, obejmować jej, ściskać, kraść pocałunków — nawet rozmawiać z nią. Czuł względem niej szacunek, który go mięszał, onieśmielał, denerwował, czy co takiego?... Milczał, gdy szedł do niej nocą i nieraz ją żegnał bez słowa.

Ona milczała także. Oboje oddawali się sobie w tem milczącem zapamiętaniu rozkoszy, w którem tracili przytomność. Jej usta jakby zmalały, twarz ściągnęła się. Czasem uśmiechała się zupełnie bezmyślnym uśmiechem szczęścia.

Ale Julka opanowywał strach coraz większy. Za każdym razem, gdy szedł do niej, miał chwile świadomości, czuł ciężary, spadające mu na ramiona, przeczuwał nieznane mu ogromy odpowiedzialności, wydawał się sobie wstrętnym i dopiero po walce (niedługiej zresztą) uczuwał coś jak przed skokiem w głębię głową na dół i coś tak nieprzezwyciężonego, jakby ognisty sznur go nagle pociągnął, a wola — wola niemiała, czy też skupiała się cała w namiętność? „That is the question"... Leciał, jak kula, tracił wtedy wszystko z przed omglonych oczu...

— Skoro raz się już stało, to wszystko jedno — takie były odbłyski jego ostatnich myśli za każdym razem.

Ale najgorszem było patrzyć na stosunek do niej rodziców, siostry, nawet Jasia — ba — nawet — głównie — siebie samego.

Pan i służąca. Państwo — i dziewczyna do wszystkiego... za sześć rubli miesięcznie. Mówiło się jej „ty“, a ona wszystkim „pan“ „pani“ Jaś był „paniczem“ a Wandzia „panienką“. Niech by zresztą. Ale jeżeli które wpadło w złość na Cesię... Wandzia bywała „zdenerwowana“. Cesia omyliła się, przyniosła nie to, czego panienka chciała, więc panienka rozpuszcza języczek — ach, ale jaka ona dobra! Po minucie już zapomina o swojej złości. Mogłaby gniewać się dalej, wymyślać co wlezie choćby cały dzień. Na służącą można — co? — nie? Także coś!

— Taka prosta dziewczyna ze wsi — przyzwyczajona. Ci prości ludzie zupełnie inaczej czują, niż my, mówiła kiedyś Wandzia, gdy Julek wymawiał jej szorstkość jeszcze dla Józi.' Phi! Wam się zdaje, że kultura nie ma żadnego znaczenia. Delikatność uczuć wyrabiają wieki cywilizacyi. My...

„My“ — to znaczyło nawet nie my — „inteligencya“, ale my szlachta dziedziczna „wysubtelniona“ w szeregach pokoleń... O nędzo!

Kabotynizm szlachecki, kabotynizm burżuazyi, kabotynizm inteligentnego „oczytania“, wyższość kabotyńska artystów, „arystokratów ducha“, barbarzyńców uczuć „subtelnych“, chamów, odurzających się własną względnością dla swoich nerwów, ordynarnych zachcianek, lenistwa, cynizmu i rozpusty...

— Niewiadomo, jak z niemi postępować — skarżyła się nieraz pani Bielska na swoje służące. Okazać im jakąś dobroć, to one zaraz myślą, że to im się należy. A takie to shardziałe, jak to odpowiada zararaz! Cesia jeszcze niezła i pracowita, ale i ona mi się psuje! Tego nie zrobi, o tamtem zapomina...

— Przystojnego masz garkotłuka! — zauważył raz jeden z kolegów Julka, łakomie patrząc na Cesię.

Spróbować wytłómaczyć koledze, że Cesia jest naprawdę inna, niż te pospolite dziewczyny o nizkich, zdeprawowanych instynktach i duszy służalczej, jakby od urodzenia?... Nie — to by mu nie przeszło przez gardło. Kolega domyśliłby się i śmiałby się z Julka całe życie... Tak, było w tem coś śmiesznego i plugawego — myślał niejasno Julek, czując jednocześnie, że istnieje gdzieś jakiś inny punkt widzenia, który jest słuszny, ale któryby jego, Julka, też zmiażdżył chyba... i tego punktu nie znajdował w żadnym obozie... To nie „równość ludzi“ nie, ach, śmieszna myśl po prostu. To nie żadne „równe prawa“, ani nawet sprawy ekonomiczno społeczne... To ostatnie oczywiście gra w tem pewną rolę, ale stosunkowo nie tak wielką...

— Cesiu, jak ty czyścisz? krzyczy Wandzia i ciska z pasyą buciki na środek kuchni.

— Zmoczone po deszczu, to nie chcą puścić glansu — tłómaczy Cesia.

— Co to za robota. To wysusz na kominie, a potem oczyść. Jak ja się pokażę na ulicy.

— O jej, — panienka tak krzyczy.

— Dla ciebie to nic, możesz nawet boso chodzić, ale ja muszę iść na lekcyę. Dziewiąta godzina, a buciki nie oczyszczone.

— Cesia! Dawaj śniadanie! wrzeszczy Jaś i zaczyna się z nią uganiać po kuchni. Wrzask—pisk.

Cesiu, co ty wyrabiasz, pan już wychodzi, a herbaty niema, jęczy p. Bielska.

— Chodziłam do magla.

— To sobie chodź później, ale do czego to podobne, żeby się tak spóźniać. Tylko na chwilę bądź tu dla niej dobrą — to masz, już nic nie robi, lata po mieście, garnki nie pomyte, ścierki brudne.

— Gdzie tam nie pomyte, niech pani zobaczy.

Julek, kochanek, leży w łóżku i wysłuchuje tego. Jeszcze czuje jej młode ciało w objęciu, pachnie mu jej czysta gorąca różowość... Twarz go pali, wierci się na łóżku, radby tej całej rodzinie po chamsku nawymyślać, znów się rzuca na łóżko, klnie, czuje oburzenie na cały świat, na siebie... Wchodzi Cesia i zabiera jego buty do czyszczenia. Julek patrzy na nią błagalnie. Kiedyś ją prosił niewyraźnie, żeby tego nie robiła, on sam...

Cesia spojrzała na niego wielkiemi, dobremi oczami, spłonęła jak zorza, zatrzęsła się swoim cichym przenikliwym śmiechem. Śmiała się tak, że wcale nie mogła się uspokoić.

— A co? sam pan będzie czyścił? wołała, schylając się do samej podłogi ze śmiechu.

— Śmiała się długo, radośnie, aż i Julek zaczął się śmiać tak, że i na zakończenie pocałowali się z całej mocy.

Julek wyczuwał, że usługiwanie mu sprawia jej przyjemność, i wzruszało go to, przygnębiało— nie, to jest potworne. A jednocześnie, to byłoby naturalne, gdyby...

Właśnie. Gdyby co?

Wstyd. Wstyd.

On by jej chciał pomagać w jej pracach, ale tego nawet powiedzieć nie można. To śmieszne. Czemu to śmieszne?

Jakaś smętna, niejasna, brzydka męka.

Tak, niby dla zabawy rozciągał z nią raz prześcieradła po praniu.

Było mu tak przyjemnie, wesoło. Cieszyli się oboje, jak dzieci. Szarpali prześcieradła z energią, trzymając je za cztery rogi, ona na jednym końcu kuchni, on na drugim. Potem składało się je, zbliżało się do siebie coraz bardziej, potem byli oboje już zupełnie blizko, obejmowali się, całowali — i znowu szarpało się, prostowało z hukiem i warczeniem prześcieradła i znowu zbliżanie się, pocałunki...

Nikogo nie było w domu. Ach, żeby tak zawsze.

Zawsze? — E, nie.

* * *

Ten kolega był to „duch samodzielny“ „wolny socyalista“ nie partyjny, ale ogromny sympatyk socyalizmu i przyjaciel Julka.

— Zabierz się do niej — wiesz? a nie, to mnie odstąp, dodawał kolega i wyrzucał z siebie szereg brudnych wyrazów i rad.

Julek wtedy uśmiechał się głupio i zmieniał rozmowę, albo ratował sytuacyę gniewem lub kłamstwem. Doznawał przy tem nieraz tajonej

radości, co to on jednak posiada w tajemnicy. Odczuwał że pomiędzy nim i Cesią było co innego niż radził mu kolega, ale choć miał ochotę wyrzucić go za drzwi, musiał mu w głębi duszy przyznawać, że jednak nie tak bardzo się różnił od niego i to go doprowadzało do rozpaczy.

(C d. n.)

EDWARD HOSZOWSKI.

OFIARA KONSEKWENCYI.

(RZECZ O JERZYM ŻUŁAWSKIM, Z POWODU POJAWIENIA SIĘ DRAMATU „GRÓD SŁOŃCA").

Żuławski napisał nowy dramat, nową „baśń dramatyczną": „Gród słońca". Pozornie nowa książka. Może nawet autor chciał napisać nową książkę. A jednak nie. (Fatalna konsekwencya! Ale o tem niżej).

Nie trudno zauważyć, że teren twórczości poetyckiej Żuławskiego jest fatalną konsekwencyą jego naiwnego na świat poglądu. (O gdyby mogło być inaczej!) Mam tu na myśli amalgam dziecinnego racyonalizmu i sentymentalizmu w dostojnym sosie à la Nietsche i t. p.

Kto czytał „Prolegomena" i inne „uwagi, szkice i opowiadania", ten zna Żuławskiego beznadziejne refleksye na temat przeznaczenia ludzkości i fatalizmu, ciążącego nad jej losem. Cała tedy twórczość ludzkości zdąża bez ratunku do fatalnego końca, a tym końcem nieodzownie: szczęście zorganizowanego mrowiska, w którem nie będzie już miejsca dla świadomej siebie twórczości; (każdy bowiem gieniusz twórczy całem swem życiem pracuje na to, by utrudnić, a w końcu uniemożliwić przyjście następnym geniuszom). A potem? Potem, oczywiście kosmiczna zagłada. Ta tedy rozpaczliwa teleologia ludzkości, będąca krańcową konsekwencyą krańcowo naiwnego racyonalizmu, jest terenem, na którym w przeważnej części powstały utwory Żuławskiego.

Polemizować z tym poglądem niema potrzeby. Bo jeżeli każdy pogląd usiłuje reprezentować jakąś wartość, to czemże są te refleksye przeciwstawione żywym tendencyom człowieka?

Te żywe tendencye usiłuje Żuławski wprowadzić do swej twórczości poetyckiej w ostatnim utworze. Zobaczymy z jakim rezultatem.

„W nieokreślonym czasie i miejscu" pojawia się (tak przez autora nazwany) Bohater, który obaliwszy stary porządek, buduje dla ludu wolny „Gród słońca" i na gruzach religii smutku krzewi kult radości życia i śmiechu. Ale wróg nowego porządku, (szlachta, która straciła swe przywileje) żyje jeszcze w najbliższem otoczeniu władcy, knuje i gotuje mu zgubę.

Zawiązek jednak tragicznego upadku Bohatera leży gdzieindziej — leży w jego pochodzeniu. Ojcem jego jest artysta, a matką dziedziczka obalonego tronu królewskiego.

Ta matka właśnie — to kamień tragiczny, wiszący nad głową Bohatera. I przychodzi do konfliktu. Drogą wcale nie prostą.

Oto ojciec Bohatera, artysta, cieszący się sławą rozgłośną, po przyjściu na świat syna zaniedbuje swą twórczość i — matkę dziecka, cały zaś oddaje się jego wychowaniu, chcąc zeń uczynić większego od siebie, t. j. właśnie Bohatera. Matka dotknięta w swej dumie niewieściej, opuszcza kochanka i dziecko i — postanawia pokutować w klasztorze za swą grzeszną miłość, zobowiązawszy ojca przysięgą, że syn nie dowie się za jej życia, kto jest jego matką.

Bohater tedy wyrasta na bohatera, nie znając matki. Ale zawistny los stawia mu tę nieznaną matkę na drodze jego zamierzeń. Bo oto (Bohater nie zabije matki, ale) każe zburzyć klasztor — a ksieni tego klasztoru — to właśnie matka Bohatera. Na pięknem wzgórzu ma właśnie stanąć pałac dla władcy. (Konflikt pierwszy).

Co więcej — Astrolog, figura stojąca ponad dramatem, wróży śmierć temu, kto postawi dom na owem wzgórzu. Pałac mimo wróżby stanie z rozkazu Bohatera. (Konflikt drugi — tym razem z samem przeznaczeniem).

Jeszcze jedno: postać Bohatera uwodzi młodą zakonnicę, która idzie za nim, by zostać jego piątą żoną. Z tego powodu spada nań z ust ksieni jeszcze jedna klątwa, mocą której Młoda stanie się jego zgubą. (Konflikt trzeci — z Panem Bogiem). Oto akt pierwszy.

W akcie drugim spisek dojrzewa, ksieni staje po stronie spiskujących, a do wybuchu buntu nadarza się sposobność.

Oto Bohater wysyła lekkomyślnie swe wojska na wyprawę i odbywa zaślubiny z Młodą. Ale Młodą kocha budowniczy, który był twórcą fatalnego pałacu. Miłość tę usiłuje wyzyskać przywódca spisku Majordomus i wciągnąć budowniczego do sprzymierzenia. Doznaje jednak zawodu, a napadnięty przez budowniczego zabija go i oczernia przed ludem Bohatera, jakoby kazał zabić młodzieńca, by w ten sposób odwrócić od siebie wróżbę, związaną z budową pałacu. Lud burzy się, a dla dopełnienia grozy sytuacyi zjawia się ksieni i w oczach ludu błogosławi miecz Majordoma, (Nowa klątwa).

W trzecim akcie broni się Bohater z garstką wiernych mu robotników przeciw oblegającym pałac buntownikom. Czeka na odsiecz swych wojsk. Ma pewność zwycięstwa. Na chwilę zaćmiewa się jego pogoda, gdy dowiaduje się od ojca, że ksieni jest jego matką, ale wnet odzyskuje pewność siebie.

Ale my wiemy już, co będzie. Będzie, co ma być.

Na wysokiej wieży siedzi Astrolog, czyta w gwiazdach, wygłasza wróżby, determinuje dramat. Oto wojska powrócą, Gród Słońca będzie odbudowany, ale Bohater zginie. Nie pomoże ojcowe błogosławieństwo, zlane na szyszak Bohatera, przeciwstawione błogosławieństwu matki, które dała mieczowi Majordoma. — Zjawi się w ostatniej chwili Młoda, tuląc do piersi Bohatera, odkryje nieopatrznie jego głowę, by się stać jego zgubą (w myśl klątwy rzuconej przez matkę na łamiącą śluby zakonnicę). I tak pełnią się wszystkie klątwy i wróżby.

Tak — ginie Bohater losem powalony — ale autor zapewnia nas, że idea zwycięża i Gród Słońca będzie odbudowany.

Tu autor ze zwycięską ideą znalazł się wobec Astrologa w podobnie przykrem położeniu, w jakiem widzieliśmy Bohatera pełnego mocy wobec wróżb tegoż Astrologa. Jest wobec niego wraz ze zwycięską ideą bezsilny.

Bo oto Astrolog jest autorem „Prolegomenów“ i innych „uwag, szkiców i opowiadań“ i wie doskonale, że „to jest obojętne wszystko i marne. I tak kres: zagłada. Co ma być, będzie“.*)

Widzimy tedy, że idea nie jest tu szczęśliwszą od ludzi, że i jej nie oszczędzają klątwy i wróżby, że i jej dni są policzone przez Astrologa.

Żuławski-Astrolog jest tedy ofiarą krańcowej konsekwencyi, z jaką wyznaje swój naiwny pogląd na świat. Żuławski ratujący w swym dramacie z rozbicia ideę — to Eros-Tanatos wybawca Psyche.

A Żuławskiego ludzie?

Kinematograficznie przesadne mają ruchy, nie wzbudzają wiary w swe życie; ludzi tych autor nie znał osobiście (nie przeżył, jak się to mówi), znał ich tylko ze słyszenia.

Jakiż stosunek tej poezyi do naszych zagadnień? Żaden. — I jeśli Żuławski jest czytany, a lekkomyślna krytyka nasza nie zajęła się dotychczas rewizyą tej literatury — to dowód gruntownej śpiączki.

*) Gród słońca, str. 189.

M. DĄBROWSKI.

OBRAZKI Z BELGII.

Bruksela 15. sierpnia.

Od kilku tygodni bije z nieba i z ziemi żar. W kraju, gdzie deszcz spada najmniej dwa razy w tygodniu, przesądny chłop uważa, iż upał ten jest karą boską. Klerykalne świstki zapowiedziały na dziś Sodomę i Gomorę. Na Brukšelę spadnie siarczysty ogień, bowiem socyaliści i „masoni“ urządzają narodową manifestacyę przeciwko rządowi, od lat 26-ciu błogosławionemu przez Ojca Świętego.

Przyszedł oczekiwany dzień. Temperatura spadła o kilkanaście stopni. Rozgorzały serca i dusze...

Z najdalszych krańców Belgii, z zapadłych kątów, skąd do pociągów nieraz 20 kilometrów piechotą zdążać trzeba było, zjawiły się grupy manifestantów.

Prawdziwe „kompanie“ dążyły do Brukseli, z pieśnią rewolucyjną na ustach, z czerwonym znakiem boju, z błękitnym sztandarem wolności, z zielonym nadziei w ręku.

Widziałem w pochodzie grupy osób, które, jak nasze chłopki, z daleka na odpust podążające, obuwie niosły na kiju, bosemi stopami rozprażony bruk stołeczny depcąc.

Prawo równe do parlamentu dajcie, nie ważcie się powierzyć ludowego nauczania kleszej czeredzie!

* * *

Kłębi się mrowisko ludzkie na olbrzymim placu Boulevard d'Anvers. Nietylko wyloty ulic, lecz całe ulice zapchał potworny ludzki wąż, o skórze czerwono-błękitnej.

Kwitną bławatki, kwitną maki krasne, i gwoździki, migają w powietrzu portrety ukochanych wodzów.

W tłumie spotkałem Łotysza i Rosyanina.

Ten ostatni sekretarzem Tołstoja był. Łotysz rozradowany, pełny energii życiowej, gdy wystrzał rakiety sygnalizującej usłyszał, zwraca się do mnie:

— Ot, towarzyszu, strzelają lepiej, niż „ichnije puszki“ na przyjazd monarchów do Brukseli.

W bezbarwnych oczach Rosyanina odbija się bezbarwna dusza. „Nie sprzeciwiaj się złu“.

Druga, trzecia rakieta znakiem ognisto-białym żegna niebiosa. Wystrzały słychać na drugim końcu miasta...

Kawalerya robotnicza dosiada koni. Dziwna i piękna kawalerya! W dzień zwykły konie rozwożą chleb i węgiel z kooperatywy: Maison du Peuple.

Na czoło formującego się pochodu wkracza kolosalny transparent: Manifestation nationale du 15 aout.

Narodowa manifestacya! Tak, to jest bezsprzecznie narodowa manifestacya, prowadzona przez socyalistów.

Zawarto przymierze, sojusz z liberałami. Obok starego Bertranda, który nim posłem do parlamentu został, skrzynki pocztowe na schodach tego parlamentu malował, kroczy milioner Solvay. Obok zecera, rubasznego Anseele, idzie wykwintny w każdym ruchu Huysmans. Niespokojne, tygrysie oczki Vandervelde'go świdrują sędziwe oblicze Jansona.

Sunie powoli Belgia cała. Więc Brabancya z pułkiem międzynarodowych sztandarów na przedzie, więc Antwerpia, dwie Flandrye, więc dalej Valonia: Leodyum, Hainaut, Luksemburg, Limburg, Namur.

Płonie czerwienią ulica stolicy. Kipi i wre buntem.

Widzieliście kiedy obrazy Lermansa, a szczególniej obraz: Strejku.

Jest cisza w powietrzu, a gwar szaleńczy w dole, na ziemi. Jest pęd wichrowy w pochylonych posta-

ciach tłumu, którego krańca nie dojrzy się. W środku sztandar czerwony z przodu, z tyłu wali wiara zgłodniała, obdarta. „Huf rycerzy nowego świata porządku“.

* * *

Oto Courtrai, słynne wielką bitwą, Courtrai. Dziś ognisko przemysłu tkackiego. Powoli suną tłumy różnorodne z Courtrai...

Kiedyś przed laty, na polach bagnistych spotkały się tam dwa światy, dwie cywilizacye.

Przodkowie tych oto „citoyens“, ławą 700.000 przed bitwą z najezdniczem rycerstwem francuskiem, na kolanach, w przeolbrzymiej modlitwie-przysiędze na usta swe kładli trochę ziemi rodzinnej...

Jest w dziejach gest niezapomniany. To nie nasza „Boga Rodzica Dziewica“ z pod Grunwaldu.

Słaniam się na nogach. Godzinę trzecią stoję pod Giełdą Brukselską i patrzę, patrzę...

Chaotyczne myśli porządkuje zadziwiające l'ordre manifestacyi.

Wtem przed oczy moje nasuwa się las zielonych sztandarów. Owacye przechodzą w ryk, w huragan.

Na czele owieczek „chrześcijańskich“ kroczy ksiądz Fonteijne, najautentyczniejszy rzymsko-katolicki ksiądz.

Wspomnienia gonią mary Macocha, wspomnienia gonią pociemniałą Jasną Górę.

Refleksya nasuwa ponowne paralele historyczne.

Braciszek zakonny, Wilhelm Sauftingen z Ter-Doest z pod złotej Brugi, orze w polu zagony klasztorne. Przechodzi oddział zbrojny. „Pod Courtrai idziemy, pod Courtrai!“

Braciszek sprzedaje konie, kupuje olbrzymią maczugę. Siłaczem był znanym szeroko. Nazajutrz maczugą swoją zwala księcia d'Artois, gdy ten ośmielił się dotrzeć do sztandaru narodowego: „Flandre au lion“!

To nie nasz Zbigniew Oleśnicki, co pozwala dobić Jagielle Krzyżaka, na życie króla godzącego.

* * *

Godzina piąta na zegarach Grand Palace'u dzwoni.

Kiedy kres, kiedy koniec wreszcie tym tłumom, tym znakom bojowym, tej melodyi...

Idzie brać czarna z Hainaut, z Centre i z Borinage. W boju podziemnym skrą lontów zapalnych podziobane twarze.

Lud dzielny i wesoły, jak iskra na prochy padająca. Oto robotnicy z Jemmappes, z pod Jemmappes, gdzie rewolucyjna Francya zmagała się z koalicyą europejską. Michelet opisuje prawdziwą scenę biblijną z r. 1792.

Może prababka, tej oto szwaczki z Mons, przyniosła naparstek srebrny i złotą monetę do kasy wojskowej „patryotów“ francuskich, oswobodzicieli Walonów z pod jarzma Austryaków.

„Dziecko pracy“, pisze wielki historyk-poeta, „oto twoim naparstkiem i twoim małym pieniądzem Francya opłaciła swe wojska rewolucyjne, złamała potęgę królów pod Jemappes“.

* * *

Są chwile niezapomniane.

Szeregi górników wstępują, idą, dążą na plac zborny do parku Saint-Gilles, gdzie przed laty 20 składano wielką przysięgę:

„Robotnicy i demokraci, zebrani w dniu 10. sierpnia 1890 roku, w parku Saint-Gilles na uroczystej manifestacyi, składają przysięgę, że od dziś walczyć i pracować będą bez wytchnienia i bez kompromisu, aż do dnia, w którym przez zaprowadzenie powszechnego głosowania, lud belgijski zdobędzie realnie swą ojczyznę“.

Dziś stokrotnie pomnożone tłumy przysięgę tę powtarzają.

* * *

Jednością silni obalą Belgowie ostatnią zaporę zakrojowi kulturalnemu stawianą przez klesze rządy.

Świadomi swych praw, świadomi historycznej misyi ludu pracującego, odrzucili precz dogmat klasowy, skorupę doktryny.

Życiem są i życie nowe stworzą.

W potrójnej niewoli, w jarzmie wyzysku, w ciągłem niewolnictwie szlachecko-księżem wije się Polska...

Jedności hasła, świadomości historycznej misyi proletaryatu, napróżno szukasz, socyalisto polski!

Chargot litwacki opluwa hasło święte, finansowe spekulacye domorosłych bankierów i handlowców zdawna na rynek zbytu Niepodległość Polski wyniosły.

Księża kanalia zaprzedała wszystko rozpuście i Rzymowi.

A jednak „szlak nasz oczyści serce ofiarne z szaleju podłości“.

Wierzę, iż kiedyś na Błoniach Krakowskich u stóp Kopca Kościuszki, usłyszę przysięgę inną...

„I niechaj mi się stanie według wiary mojej“.

K. STEFAŃSKI.

KRÓLESTWO POLSKIE A ROSYA W OSTATNIEM PIĘCIOLECIU.

VI.

Politykę niepodległościową prowadziły w ubiegłem pięcioleciu dwie organizacye polityczne: frakcya rewolucyjna P. P. S. i — po wyzwoleniu swem z więzów endecyi — Narodowy związek robotniczy.

Co można o tej polityce dziś powiedzieć?

. . . .

„Kiedyż uniesiem głów ponad zbroczone wezgłowia? Kiedyż na ludu łonie spoczniemy w sławy koronie? Któż nam odpowie?“ pyta jęk w wichrze między mogiłami straconych w cytadeli warszawskiej bojowców.

Cisza wokoło — ponuro wyje wicher; chwieje

się jęk wichru, zanosi tam i sam nad niewidzialnemi, płaskiemi, zadeptanemi dołami, w których leżą straceni powstańcy, niepodlegli bojowcy i bandyci — warstwa na warstwie, długim pokotem... I tylko śniegowy wąż podnosi z nad mogił głowę i, oplatając drewno szubienicy szeleszcze:

„Nikt wam nie zmąci snów — grobom, wkopanym w mogiły, mocy, strąconej w dół zgniły... Niewola wieje przez sioła, niewola idzie przez miasta, szlak wasz szalejem zarasta".

A w mogile pod szubienicą leży ...„Grzegorza chłopski trup. Głęboko leży w zmarzniętej glinie. Torturami podarli mu ciało, gumowemi kijami odbili je od kości, porozrywali spoidła żeber, jako że się był zaparł do ostatniej kropli krwi i do ostatniego tchu... Wyszedł z chałupy w ciemną noc, żeby się bić na śmierć o Polskę, a zawisł pod nazwiskiem bandyty" [1]).

Takie echo wywołały czyny niepodległościowych bojowców w poezyi współczesnej; nie brak tu jednak i bardziej optymistycznych wrażeń i myśli.

Oto co mówi bohater tejże „Róży" Katerli-Czarowic do naczelnika Ochrany w przejmującej zgrozą scenie torturowania bojowca-robotnika Osta:

„Nie zmyjesz pan ze szmat, z duszy i ze wspomnień chłopa polskiego i robotnika krwi, którą tu wylewasz. Wasze tortury budzą w martwych dusze. Wasza szubienica pracuje dla niepodległej Polski... Po dalekich siołach idzie wędrowne, w kurzu krwi zrodzone podanie o tem, jak wspaniale umierał za niepodległość Okrzeja, Baron, Izdebski i tylu innych. Obejdzie ono wszystkie drogi, trafi do każdego domostwa. Zrozumieją wszyscy polscy ludzie, jak żywa siła bić zaczęła z tej wody, w boleściach wydanej przez ziemię naszą"...

. . . .

Czas okaże, czy słuszne są owe przeczucia serca wieszczego. Na sąd historyczny nad tym okresem straszliwym, okresem dziwacznie przemięszanych ze sobą bohaterstwa i podłości, szlachetnej krwi ofiarnej i nikczemnego błota zdrady — okresem Okrzejów i Charewiczów — zawcześnie jeszcze. Brak danych objektywnych i perspektywy historycznej dla oceny wypadków niezbędnej.

Na razie więc podkreślimy jedynie kilka cech działalności bojowej P. P. S., które jaskrawo rzucają się w oczy.

A więc, przedewszystkiem dzięki tej działalności — złudzeniem pokazało się zakorzenione po pogromie 63. roku u nas przekonanie o niemożliwości walki zbrojnej w dzisiejszych warunkach. Okazało się, że i partyzantka może iść z duchem czasu i korzystać na równi z militaryzmem ze zdobyczy techniki.

Akcya bojowa P. P. S., dodajmy pełna bohaterskich czynów jednostek, lecz prowadzona niżej krytyki, bezplanowo i bezcelowo, będąca raczej szeregiem odruchów i wyskoków, niż „akcja" we właściwem tego słowa znaczeniu, dowiodła mimo wszystko, że kilkuset śmiałków, rozsianych po kraju całym może przez lat cztery zadawać poważne straty rządowi z małemi stosunkowo dla siebie ofiarami, o ile oczywiście w grę nie wejdzie zdrada [2]). Jeżeli zaś dołączymy przykład powstania grudniowego (1905 r.) w Moskwie, to będziemy widzieć, że w mieście niespełna 800 partyzantów, uzbrojonych według wymagań dzisiejszej techniki bojowej, tworzy siłę zdolną do długotrwałej walki z siłami o wiele przeważającemi wojsk regularnych.

Niemniejszem jednak, niż poprzednie, złudzeniem okazała się piastowana, co prawda, przez bardzo szczupłą garstkę idealistów — wiara w skuteczność akcyi zbrojnej, jako jedynego środka wywalczenia wolności, a nawet ustępstw politycznych. Jedynym skutkiem niezwykle, jak widzieliśmy, ruchliwej działalności bojówki P. P. S. była pewna dezorganizacya władz [1]) i powstrzymanie na czas pewien represyi, względem prac kulturalnych społeczeństwa stosowanej. Dezorganizacya jednak władz i policyi dała się naprawić względnie prędko, natomiast dezorganizacya życia politycznego, jakiej taka pewnego rodzaju militaryzacya ruchu robotniczego wraz z nieodłącznymi skutkami życia konspiracyjnego jak prowokatorstwo, brak kontroli ze strony opinii publicznej i t. d. stały się przyczyną, okazała się do naprawienia wręcz niemożliwą. Stanowczo nie zbankrutowała idea terroru jako środka politycznego. W ciągu ubiegłego pięciolecia zawsze, o ile tylko chodziło o poparcie terrorem jakichbądź postulatów politycznych, lub też o protest, dokonany zapomocą terroru, wnet terror rządowy paraliżował usiłowania rewolucyonistów i, wywołując panikę wśród ogółu sprowadzał nieoczekiwane skutki. Weźmy choćby dwa bardziej znane przykłady:

Terror lewicy P. P. S. stosowany względem urzędników został sparaliżowany odrazu okrutnym pogromem w Siedlcach [2]), który nietylko zastraszył ogół, ale wręcz wywołał reakcyę przeciw terrorowi w łonie samej partyi. Terror Narodowego Związku robotniczego, zastosowany dla poparcia bojkotu szkolnego, spotkał się z zaniknięciem szkół polskich w gub. kieleckiej i w samej Warszawie i wywołał pamiętną haniebną odezwę połączonych stronnictw-realistów, Nar. Dem. i Post. Demokracyi.

Tak więc akcya zbrojna okazała się zupełnie możliwą, aby jednak mogła być skuteczną, musi być ona połączona ze zrewolucyonizowaniem całego ogółu ludności.

Jak wszystko, tak i rewolucya musi być zdemokratyzowana do gruntu.

Tyle o działalności niepodległościowców naszych w ubiegłem pięcioleciu. Jak widzimy, nie była ona zbyt owocną w skutki, natomiast rozgrywając się na tle niesłychanie nizkiej kulturalności mas ludowych w Królestwie, prowadzona w dodatku nad wyraz chaotycznie i kierowana nieudolnie — ciężkiem brzemieniem legła na rozwoju stosunków politycznych Królestwa na długo i bardzo długo.

---

[1]) Józef Katerla „Róża".

[2]) Dla charakterystyki akcyi bojowej przytoczę tu cyfry za lata 1907 i 1908, podane na konferencyi partyjnej. P. P. S. wówczas rozpadła się na frakcyę rewolucyjną i umiarkowaną i frakcya rewolucyjna wzmocniła swoją działalność czysto bojową.

Według miesięcy napadów wypada w roku 1907 na luty — 9, lipiec — 10, sierpień — 18, wrzesień — 8, październik — 8, listopad — 3, grudzień — 3; w r. 1908 na styczeń — 4, luty — 1, marzec — 7, kwiecień — 9, maj — 2, czerwiec — 1, lipiec — 3, sierpień — 2, wrzesień — 2, październik — 2. Pieniędzy skarbowych bojówka zabrała 200 tys. w 11 napadach większych i 3000 rb. w 44 mniejszych.

Zabito w tym czasie: 8 urzędników i oficerów policyjnych lub żandarmskich, 19 żandarmów, 66 szpiclów i prowokatorów, 81 policyantów, 7 żołnierzy, 9 bandytów; bojowców w czasie napadów poległo 14, powieszono zaś — wyłącznie niemal z powodu zdrady towarzyszy — 47. Technika bojowa doszła do tej doskonałości, że kilkunastu bojowców zabierało kasy konwojowane przez silne oddziały żołnierzy. Czasami dochodziło do formalnych potyczek, jak w Tarłowie we wrześniu 1907 r. lub przy zaborze poczty w Ostrowcu 28. listopada tegoż roku. Jedyny jednak napad na wojskowy pociąg pod Czyżewem, skończył się fiaskiem bojowców.

[1]) Według „Warsz. Dniewn." w samej Warszawie 20 proc. policyi było zabitych lub ranionych przez bojowców. Służbę policyanci mogli pełnić tylko pod osłoną wojsk.

[2]) Wzamian za kilka nieudolnych zamachów na policyę w Siedlcach, wojsko zamordowało 52 osoby, raniło przeszło 100 i zniszczyło mienie 7300 osób za 350.000 rubli.

Przechodzimy teraz do programów niepodległościowych w ubiegłem pięcioleciu.

Żadna partya ani grupa nie opracowała konsekwentnego programu polityki niepodległościowej, zastosowanego do dzisiejszych warunków. P. P. S. urzędownie stała niewzruszenie na gruncie uchwał zjazdu paryskiego w 1892 r., uważając klasę robotniczą za spadkobierczynię niepodległościowych ideałów szlachty polskiej i widząc w powstaniu zbrojnym jedyny cel konkretny dzisiejszej polityki. Pewien w tej dziedzinie postęp datuje się w tej partyi dopiero w drugiej połowie pięciolecia, kiedy owa przyszła Polska zaczęła się nieco realniej w programie pps-owym kształtować.

Wyraziło się to w pośredniem propagowaniu hasła, wygłoszonego przez jednego z wybitniejszych publicystów P. P. S. Tytusa Filipowicza — hasła niepodległości Królestwa Polskiego.

Hasło to można już traktować poważniej, a w każdym razie ma ono o wiele więcej podstaw konkretnych niż dawny mglisty termin: „niepodległa rzeczpospolita polska robotnicza i ludowa", który tyle lat figurował i bodaj dotąd figuruje w urzędowum programie partyi. Hasło też niepodległości Królestwa, względnie oderwania się tego kraju od Rosji i wejścia w skład innego państwa, przedstawiającego lepsze warunki rozwoju narodowego i społecznego — staje się w ostatnich czasach dość popularnem wśród ogółu.

Program niepodległościowy „Narodowego Związku Robotniczego" o wiele gorzej się przedstawia.

Program opiera się na abstrakcyjnej polskiej idei państwowej, bez względu na dzisiejsze warunki życia. W praktyce jest to partya trójzaborowa.

Organ „Związku" „Walka" w Nr. 1. oryginalnie bardzo uzasadnia swój światopogląd: „Żądamy swobodnego rozwoju naszego narodu pod względem kulturalnym, ekonomicznym i politycznym". „Warunki takiego rozwoju zabezpieczyć narodowi może jedynie własne państwo narodowe". „Dzisiejszy naród istnieć może tylko jako państwo", a więc „dążymy dlatego do zbudowania państwa polskiego w jego dziejowych granicach". „Związek" nie wyrzeka się „ani piędzi historycznych ziem Rzeczpospolitej Polskiej, jako granic naturalnych naszego rozwoju naturalnego w przeszłości" i podkreśla, że Zabór rosyjski „tworzy najgłówniejszą część przyszłego państwa polskiego, zarówno pod względem widoków politycznych", jak i pod względem zaludnienia terytoryum.

Odbudowanie więc Rzeczypospolitej w dawnych granicach, no i wynikające już z tego samego zaborcze dążności względem Litwy i Rusi, tworzą podstawę zasad programowych partyi. Zbrojne zaś powstanie narodowe „Związek" uważa za jedyny środek dla dopięcia tego celu. „Historya — czytamy w „Walce" — poucza nas, że żaden naród podbity nie zdobył dla siebie niepodległości, lub szerszej autonomii drogą pokojową. Niepodległość — to nic innego jak owoc walki zbrojnej ze zwycięskim narodem. Dążąc do zdobycia własnego ustroju państwowego, ani na chwilę nie powinniśmy zapomnieć o tem, że ostatnim aktem walki naszej z zaborczemi mocarstwami będzie zbrojne powstanie odpowiednio zorganizowane i dokonane przy sprzyjających warunkach politycznych".

Mamy tu więc zwyczajne reminiscencye programów powstańczych starej daty, nie liczących się zupełnie z dzisiejszemi warunkami życia trójzaborowego, jak choćby rozpoczęte i wciąż naprzód postępujące wyodrębnienie dwunarodowej Galicyi, dwunarodowość zaboru pruskiego, budzący się ruch narodowy litewski, białoruski i ukraiński, różnorodność stosunków politycznych w poszczególnych krajach byłej Rzeczypospolitej polskiej i t. d.

„Narodowy Związek Robotniczy" zresztą, zaznaczywszy się niezwykle szkodliwie jako przednia straż reakcyi polskiej, w czasach gdy był składową częścią endecyi, po oddzieleniu się od niej nie odegrał wybitniejszej roli i dziś znajduje się w fazie rozkładu i żadnej roli nie jest w stanie odegrać. Wróćmy więc do P. P. S.

Wadą jej, jako partyi politycznej, jest wyłączność konspiracyjna, uniemożliwiająca zupełnie zajęcie stanowiska poważnej siły politycznej w stosunkach wewnętrznych kraju.

O ile można wnosić z enuncyacyi partyjnych P. P. S., chce ona powoli zająć stanowisko dawnej organizacyi Narodowej przed 63. rokiem, a w chwili wybuchu powstania wyłonić z siebie tajny Rząd Narodowy. Obecnie zaś partya ta ignoruje w zupełności zaczątki dzisiejszego życia konstytucyjnego i bezwzględnie całą politykę wtłacza w ciasne ramy konspiracyi. Ta cecha partji w żaden żywy sposób nie da się połączyć z panującą powszechnie demokratyzacyą życia politycznego i polityk demokrata nie może się na nią zgodzić. Owszem, wobec specyalnych warunków przejściowych na przyszłość można konspiracyę z całym szacunkiem pozostawić do użytku wszelakiej techniki rewolucyjnej i przygotowań bojowych, lecz w imię demokratyzacyi życia politycznego, w imię potrzeby podniesienia poziomu kulturalnego i pojęciowego mas, należy protestować przeciw konspiracyjnemu kierownictwu polityką społeczną lub narodową. Widmo tajnego „Rządu Narodowego", lub też „Rządu rewolucyjnego", nieodpowiedzialnego przed opinią publiczną za swe czyny, widmo „panowania pieczątki", jak powiadają stańczycy — winno raz na zawsze zniknąć z naszych horyzontów politycznych. A właśnie jest to dotąd dogmatem P. P. S., osłabiającym w dużym stopniu powagę jej programu niepodległościowego.

Drugą cechą P. P. S. osłabiającą powagę jej programu jest zasklepienie się w pewnego rodzaju militaryzmie rewolucyjnym. Nienauczona doświadczeniem przeszłości, kiedy siłą wypadków akcja bojówki została sprowadzona na stopień bandytyzmu politycznego — P. P. S. nadal bije przedewszystkim na „bojowość", „zbrojenie się" i t. d. mas roboczych.

Dla partyi, reprezentującej interesy mas proletarjatu, podobnego rodzaju taktyka jest anachronizmem krzyczącym i zgubnym dla ruchu robotniczego. Na tem też głównie opierają swoją racyę bytu różne „P. P. S. z pieczątką", „Soc. Demokracye", „Solidarności" i t. d.

Popularyzacyę militaryzmu śmiało można pozostawić specjalnym stowarzyszeniom, które zwolna powstają i powstaną w masie, gdy odpowiedni nastrój ogarnie ogół, lub choćby tylko żywszą część jego. Partya zaś polityczna i społeczna, jaką jest P. P. S. przedewszystkim powinna całą siłą pary rzucić sie na pracę agitacyjną i propagowanie swych haseł niepodległościowych i socjalnych wśród mas robotniczych, dziś już przez wstrząśnienia rewolucyjne aż nadto do ich przyjęcia przygotowanym. Polskie stronnictwo socyalistyczne jest dziś potrzebniejsze, niż kiedykolwiek.*)

---

*) Nie piszemy się na niektóre poglądy Szan. Autora. Zamieścimy rzecz polemiczną. *Redakcya.*

SILVA RERUM.

SĄD W SPRAWIE DUBLETÓW RAPPERSWILSKICH. Zamieściliśmy w poprzednim numerze „Życia“ wyjaśnienia dra Michała Sokolnickiego w sprawie zarzutów, które podniósł przeciw niemu archiwaryusz lwowski Dr. Czołowski na zjeździe rapperswilskim. Dowiadujemy się obecnie, że dnia 3 b. m. pełnomocnik spotwarzonego pisarza p. W. Wiskowski w Zurychu, zwrócił się do p. Gałęzowskiego, prezesa Rady Muzealnej, z propozycyą powołania sądu obywateli i rzeczoznawców, którymby rozstrzygnął:

1. Czy formalnie i uczciwie zawartą została przez strony obie umowa sprzedaży dubletów i czy w szczególności w postępywaniu p. M. Sokolnickiego było coś takiego, coby jako przejaw chęci jego do osiągnięcia korzyści osobistych ze szkodą mienia muzealnego słusznie uważane być mogło?

2. Czy formalnie i uczciwie wykonaną została przez strony obie zawarta umowa? Czy w szczególności, w postępowaniu p. M. Sokolnickiego były: 1) rzeczy, które jako świadome i nieuczciwe przekroczenia granic zakreślonych umową, słusznie uważane być mogą i 2) rzeczy, któreby Radę Muzeum Narod. polsk. w Rapperswilu upoważniły do napiętnowania jego postępowania przez zatrzymanie części przez niego nabytej własności i przez próby jednostronnego zerwania umowy?

3. Czy słuszny i moralnie uprawniony był czyn Rady w stosunku do p. M. Sokolnickiego, zamykający przed nim drzwi publicznej instytucyi i usiłujący przez to rzucić cień na jego dobre imię?

Ponieważ porozumienia się prezesa z członkami Rady jest w chwili obecnej możliwe przeważnie na drodze listownej, wymagającej czasu, p. Wiskowski wyraził gotowość czekania na odpowiedź Rady do dnia 25. b. m.

NĘDZA AUTONOMII GALICYJSKIEJ. Zwołane mają być sejmy krajowe. Wszystkie, prócz dotkniętych obstrukcyą. A do nich należy dzisiaj sejm galicyjski. Nie będzie mu danem zebrać się i radzić. Mówią o trzydniowej, tradycyjnej już i urągliwej zarazem sesyi sejmu aż gdzieś między Bożem Narodzeniem, a Nowym Rokiem. A mówią także o rozwiązaniu Sejmu. Galicya nie ma dziś *de facto* reprezentacyi autonomicznej; jej sejm jest parodyą sejmu, dziś już niezdolny do życia.

Zabija go kwestya ruska. Drogę do odrodzenia tamuje celowe i podstępne przewlekanie sprawy reformy wyborczej. W jednem i w drugiem przeszkodą są na drodze do ugody, uruchomienia sejmu i obdarzenia go siłą żywotną — konserwatyści wschodnio-galicyjscy, poparci przez wszechpolaków. Doczekaliśmy się skandalu, że „permanentną“ komisyę reformy wyborczej, która dotąd w ciągu dziewięciu coś miesięcy żadnego nie odbyła posiedzenia, do zebrania się zmusić ma nacisk marszałka sejmowego, że prof. Starzyński, referent tejże komisji, dotąd nie wydał na świat projektu swojej reformy wyborczej. A wszakże taki jest porządek rzeczy, że od tego, co postanowi się w komisyi, zależy stosunek Rusinów do sejmu, od stosunku Rusinów do sejmu zależy zaś byt autonomii galicyjskiej i samego sejmu istnienie.

Tymczasem Wydział krajowy oświadcza się przeciw zwołaniu sejmu. Nasza autonomia jest dzisiaj rzeczą, z którą najmniej źle jest wtedy, kiedy najmniej się wie o jej opłakanym żywocie.

DROŻYZNA doszła ostatniemi dniami do rozmiarów potwornych. Jednocześnie prawie podskoczyły ceny wielu najniezbędniejszych środków spożywczych. Najgwałtowniej podrożało mięso, pieczywo, cukier; w sposób wręcz szalony, o 60 prc. podniosły się ceny nafty. Klęska ta daje się snać odczuć nawet „górnym dziesięciu tysiącom“, nawet ludziom dobrze posesyonowanym, skoro „Czas“ staruszek nie przeciw „masonom“ dzwoni już na alarm — ale przeciw drożyźnie.

„Jeszcze przed 15 sierpnia b. r. — czytamy w „Czasie“ — kilogram polędwicy — mówimy o mięsie pierwszej jakości — kosztował 2 K 40 hal., obecnie kosztuje 2 K 80 hal., 1 klg. cielęciny kosztował 1 K 80 hal., obecnie 2 K.

1 klg. mięsa wołowego tylnego przed 15 sierpnia kosztował 1 K 76 h., po 15. sierpnia cena 1 klg. podskoczyła do 1 K 84 hal., a obecnie od 1 września rzeźnicy znów podnieśli cenę mięsa na 2 K za klg. W przeciągu miesiąca mieliśmy więc trzy różne ceny mięsa, a ogólna podwyżka w tym krótkim okresie czasu wynosi 24 hal. na kilogramie. Cena wołowego mięsa z części przednich przed 15. sierpnia wynosiła 1 K 60 hal., obecnie wynosi 1 K 76 hal.

Podobnie ma się z podrożeniem pieczywa. Przed 1. września b. r. bochenek pszenicznego chleba, ważący około 1 klg. 10 dkg., kosztował 44 hal., obecnie kosztuje 48 hal.; taki sam bochenek chleba żytniego dobrej jakości kosztował 40 hal., obecnie cena jego podskoczyła na 44 hal. Cena 1 kilograma żytniego chleba średniej jakości przed 1, września wynosiła 28 hal., obecnie 32 hal. Bułki dwucentowe zmalały jeszcze bardziej.

Podrożał też niebywale trzeci najważniejszy artykuł spożywczy: cukier.

Do niedawna kilogram cukru otrzymywało się za 68 hal. Co jakiś miesiąc lub dwa cenę jego powoli podwyższano; jeszcze przed 1. września cena 1 klg. cukru wynosiła 88 hal.. a ostatnio podniesiono 1. września do 1 korony za 1 klg. W ten sposób kartel cukrowy w krótkim czasie osiągnął na swą korzyść straszną wprost różnicę ceny, wynoszącą 32 hal. na kilogramie.

Ceny masła biegną w górę prawie równolegle z wyliczonymi poprzednio artykułami spożywczymi. Kiedy nie tak dawno, bo rok lub półtora roku temu na tutejszym rynku 1 klg. dobrego masła można było dostać za 1 K 80 hal., lub 2 K, to obecnie za tę samą ilość trzeba dać 2 K 60 hal lub nawet 3 K. Widzimy więc znaczną podwyżkę cen ogółu artykułów spożywczych, bo i piwo także w ostatnich dniach podrożało“.

Organ stańczyków sam może sprawy sobie nie zdaje z groźnej wymowy cyfr powyższych. Odpowiedzią na nie powinien być żywiołowy ruch całej ludności. Tyrania karteli naftowych i cukrowych jednako przecież ciąży nad mieszkańcami miast i wsi. Ale całokształt klęski najstraszliwiej daje się odczuć miastom. Pod hasłem walki przeciw drożyźnie zebrać się ma z końcem bm. — we Wiedniu kongres miast austryackich. Lwów będzie miał okazyę do pochwalenia się, że unicestwił u siebie „postępową“, „reformistyczną“ komisyę aprowizacyi miasta! W tej sytuacyi ciekawie rysuje się sens i wyniki wyborów lutowych do Rady miasta Lwowa.

Podskoczenie cen mięsa wiąże się najściślej z pogrzebaniem w parlamencie sprawy nieograniczonego importu mięsa, oraz z pogrzebaniem sprawy dowozu mięsa argentyńskiego w skontyngentowanej ilości — przez samowolę rządową, a wbrew lipcowej uchwale parlamentu. Tu uwypukla się znaczenie mięsa argentyńskiego, choćby w drobnej importowanego ilości, choćby obarczonego cłem i akcyzą, jako regulatora cen, środka obrony przeciw dalszym postępom drożyzny. Posłowie socyalistyczni niemieccy pismem do prezydenta Izby zażądali jej niezwłocznego zwołania, celem przedsięwzięcia środków ratunku.

Czas byłby wielki, aby pomyślano o ratunku także i we Lwowie, przez wywarcie odpowiedniego nacisku na posłów stołecznych i na Radę miasta.

NA RATUSZU. Pierwsze posiedzenie Rady miejskiej po wakacyach jest tak znamiennem dla tego co się obecnie w zarządzie miasta dzieje., tak znakomicie charakteryzuje kierunek i metody większości endecko-mieszczańskiej, że nie możemy pozwolić sobie na pominięcie tych spraw milczeniem i chcemy parę rysów oświetlić i wyjaśnić.

Samo rzucenie okiem na suche sprawozdania dziennikarskie, na różnice zachodzące pomiędzy traktowaniem tych spraw w różnych organach prasy daje wiele do myślenia.

Praca Rady miejskiej zaczyna być w łamach n. p. „Słowa Polskiego“ jednym szeregiem tryumfów, jednym wieńcem wawrzynu — oczywiście członków stronnictwa narodowo-demokratycznego. Czy się robi co dla rozwoju miasta, czy myśli się o poważnych interesach ludności miejskiej? Czy się bodaj o nich mówi? Niestety nie, ale znajduje się sprawy oddawna się tyczące, nieraz drugorzędnej wartości, nieraz takie w których się nie myśli nic robić, a które wyrastają na arcyważne zagadnienia, szukające zbawców w... „Klubie obywatelskim“ Rady.

W sezonie wakacyjnym aktualną stała się sprawa ochrony bezpieczeństwa publicznego. Oczywiście „Z ini-

cyatywy klubu obyw telskiego“ zwraca się radny Zakrzewski w obszernej interpelacyi, by prezydyum wygotowało odpowiednie wnioski w tej sprawie. Naiwni mogą myśleć, że to wystarczy. a tymczasem wiadomem jest, że o powiększenie straży bezpieczeństwa dawno już się starano że sprawę nawet z dyrekcyą policyi omówiono, że miasto w budżecie swoim na powiększenie wydatków się zdecydowało, chodzi tylko o to, że nie starano się nigdy o to, by rząd w swoim budżecie kwestyę tę uwzględnił i na to zwrócić trzeba uwagę, interpelacye zaś same do prezydyum miasta nie wiele pomogą — mogą one być tylko potrzebne lub przyjemne... klubom.

Poruszona również na ostatniem posiedzeniu sprawa gospodarki w miejskich posiadłościach podmiejskich dowodzi też niewiadomości o istotnym st nie rzeczy. Istnieje komisya lustrująca ten majątek i jego zarząd. Sprawozdanie jej i wnioski są gotowe dawno, a wnioski radnego Zakrzewskiego w tej sprawie dawno są uchwalone, oferty są rozpisywane, tylko Rada miejska nigdy nie ma czasu, zajmując się ciągle podobnemi wnioskami i interpelacyami nie ma czasu ich na czas załatwić, Skorzystanie z tego majątku gminy w celach aprowizacyjnych byłoby na czasie — nie można jednak pominąć milczeniem smutnego faktu, że niedawno kraj zlikwidować musiał szkołę pszczelniczo ogrodniczą, która oddać tu mogła nieocenione usługi i jest wprost niezbędną, jeśli wogóle ma być mowa o jakiemś wykorzystaniu aprowizacyjnem.

Mówiąc o aprowizacyi nie można pominąć przykrego zbiegu okoliczności, że właśnie kiedy pogrzebano ową komisyę aprowizacyjną, zeszłego roku tak dzielnie kierowana przèz radnych Laskownickiego i Schleichera na całym świecie wre walka o zmniejszenie drożyzny wszelkiemi sposobami. I kto wie, czy niedługo nie będzie musiał pojawić się „Z inicyatywy klubu obywatelskiego“ wniosek o stworzenie komisyi aprowizacyjnej, a wnioskodawca opatentowany nie zostanie jako dobroczyńca Lwowa?

A sprawa zakupna owych sążni gruntu od Banku Związkowego, ten przecież epilog skandalicznej afery, w której opozycya klubu reformy ratowała miasto od wyzysku, czy przysporzy większości też listek wawrzynu? Nie, stanowczo „nowa większość“ nie ma szczęścia!

ZJAZD KÓŁEK ROLNICZYCH, instytucyi, której doniosłości społeczeństwo nasze w całej pełni jeszcze nie zrozumiało, odbyty w dniach 22. i 23. sierpnia, wykazał, że i najpożyteczniejsze instytucye gospodarskie nie są wolne od inwazyi endeckiej, usiłującej per fas et nefas utrzymać się przy wszelkiego rodzaju rządach. Działalność "Zarania" na terenie Królestwa Polskiego mimo braku swobody ze strony rządu mimo niemożności jakiejkolwiek pomocy ze strony jakichś władz autonomicznych, wykazuje, że instytucye ekonomiczne rozwijać się mogą świetnie na własnych siłach oparte, byle nie zamącały ich rozwoju walki partyjne. Niestety na terenie „Kółek rolniczych“ w Galicyi nie dało się tego uniknąć dzięki usiłowaniom partyi-wszechpolskiej.

Metody jakiemi posługiwano się na zjeździe są już u nas wszędzie znane. Starano się ściągnąć jak najwięcej „swoich“ delegatów ze wschodniej Galicyi, mowców nie dopuszczano do głosu lub poprostu zakrzykiwano i hałasami zagłuszano. Wystąpiono z hasłem bezpartyjności zarządu — na liście endeckiej znalazło się jednak dwie trzecie endeków, a wśród nich prezydyum stronnictwa! Bezpartyjność pojęto, jako niedopuszczenie jakiejś innej partyi do udziału w rządach!

A przytem starano nie dopuścić wielu włościan do Zarządu mimo, że oni tam przedewszystkiem znaleść się powinni i... protestowano przeciw wnoszeniu l astowości! Obrady Zjazdu toczyły się nad bardzo ważnymi postulatami — były nieraz ogromnie poważne, i wskazują jak wielką rolę mogłaby odegrać taka instytycya, gdyby nie podrywały jej walki o wykorzystanie działalności Kółek dla celów jednego stronnictwa,

KOMPROMITUJĄCA REWELACYA. W „Kuryerze warszawskim“ zamieścił p. Lutomski artykuł, zatytułowany „O Głąbińskim“ i skwapliwie przedrukowany przez „Słowo Polskie“. Autor artykułu mimochodem porównuje p. Głąbińskiego z Napoleonem. Nie wchodząc zgoła w głębokie pomysły historyczne endeckiego publicysty musimy jednak zanotownć jedną jego — rewelacyę historyczną.

„...Na jesieni r. 1907. — pisze p. Lutomski — naturalną koleją rzeczy wypłynęła na widownię kandydatura Głąbińskiego na prezesa Koła. Dotychczasowi władcy sytuacyi, zwłaszcza konserwatyści krakowscy, usiłowali ziemię i niebo poruszyć, ażeby kandydaturę obalić. Gdy nie pomogły insynuacye i intrygi w parlamencie i prasie wiedeńskiej, najwięksi dygnitarze z Galicyi zapukali do Burgu, przedstawiając Głąbińskiego i jego przyjaciół politycznych jako zagrażających, między innemi, sojuszowi Austryi z Niemcami. Burg jednak miał informacye i z drugiej strony — i Głąbiński został prezesem“. „Burg miał informacye“ — „Głąbiński został prezesem“. Innemi słowy — o wyborze prezesa Koła Polskiego zadecydował Burg. I pisze się o tem — i to w artykule, szermującym do obrzydzenia frazesami o autonomii i parlamentaryźmie — pisze się o tem, jak o rzeczy najnaturalniejszej i najprostszej!

Pan Głąbiński mianowany prezesem Koła przez Burg! Że jest to zgodne ze stałą praktyką, iż o wyborze prezesa Koła decydują czynniki, będące poza reprezentancyą polską, o tem wie każdy. Ale na to, aby chwalić się tem, potrzeba być wszechpolskim dziennikarzem Konserwatyści są bardziej dyskretni i mają więcej godności osobistej.

Pan Głąbiński zawołać może śmiało: Od przyjaciół broń mnie Panie Boże...

W SPRAWIE UWIĘZIONYCH LEŚNIKÓW LWOWSKICH zamieściła artykuł „Neue Freie Presse“ z 2. września b. r., przytaczając treść interpelacyi posła Lisiewicza. Przy tej okazyi dowiadujemy się o fakcie, że właśnie wypuszczono z więzienia rosyjskiego dwóch handlarzy instrumentów, Niemców austryackich, podejrzanych o szpiegostwo wojskowe; na stwierdzenie swej niewinności czekać musieli 2 lata całe! Jest to charakterystyczne dla słabości i chwiejności postępowania rządu austryackiego w stosunku do gwałtów, popełnianych przez carat.

Sądzić należy, że także i niepolskie stronnictwa parlamentarne zainteresują się tym razem losem współobywateli, w których osobie naruszony został przecież honor i powaga państwa...

STYLIZOWANI PROMETEUSZE. Poszukiwacze odbłysków zachodu, a już conajmniej, choćby ze względu na czas środkowo europejski, środkowej Europy reprezentanci, odkazują na Lwów i zupełny brak jego stylu. Temu, by zaradzić i wogóle by drogi ku wielkim przeżyciom, wstrząśnieniom utorować inicyują publiczne lokale chronicznego przewartościowywania wartości. Po „Ulu“ powstać ma „Hades“, gdzie ci co Kasprowicza, Żeromskiego nie czytali będą oglądać ich skarykaturowane konterfekty, a owi dajmy na to, systematycznie dowcipni na temat Dunikowskiego lub Malczewskiego humorowi swemu nietamowany upust dadzą. A zaś szarżę naczelną dzierżyć będzie K. Makuszyński z orszakiem pierworodnych wielbicieli, niepokonany literacki „Strategik“, „obłąkanego stracha“ kronikarz, a także twórców nowych w literaturze szkół za pomocą ankiet wspólnik. Tak to we Lwowie było i będzie, lecz czyż tak wszędzie bywa?

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

ROCZNIK XIII. WRZESIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranicą		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**